

KSIĘGA II

(1728 — 1731). O ile chwila, w której strach podsunął mi zamiar ucieczki, była smutna, o tyle samo wykonanie zdało mi się uroczne. Dzieckiem jeszcze rzucić kraj, rodzinę, wszelkie podpory, środki, opuszczać naukę nawpół przebytą nie nauczywszy się rzemiosła na tyle aby żyć z niego; wydać się na pastwę biedy, nie widząc żadnego sposobu wydobycia się z niej; w wieku pustoty i niewinności wystawiać się na wszystkie pokusy grzechu i rozpaczy; w dalekich stronach szukać nędzy, upadku, niebezpieczeństw, niewoli i śmierci, w jarzmie o wiele twardszem od tego którego nie mogłem udźwignąć: oto, co miałem uczynić; oto perspektywy, które powinienem był sobie uzmysłwić. Jakże odmienne tymczasem kreśliłem horyzonty! Pełnia swobody, którą zdobyłem sobie w mem mniemaniu, była jedynem uczuciem jakiemu byłem dostępny. Czując się wolnym i panem siebie, mniemałem iż mogę dopiąć wszystkiego: wystarczył mi jeden rzut, aby się wznieść i szybować w przestworzach. Wkraczałem z ufnością na szeroką scenę świata; spodziewałem się wypełnić ją wartością mej osoby. Na każdym kroku spodziewałem się spotkać uczyty, skarby, przygody, usłużnych przyjaciół, kochanki ubiegające się o moje względy: samem ukazaniem się miałem napęłnić sobą świat: nie wszechświat wszelako, pod tym względem byłem skłonny do ustępstw. W umiarkowaniu swoim ograniczyłem się do ciasnej, ale rozkosznie dobranej sfery, w której pewien byłem królowania. Ambicji mojej wystarczył jeden zamek: tam, będąc ulubieńcem obojga państwa, amantem panny,

przyjacielem jej brata i opatrnością sąsiadów, czułem się zadowolony; nie trzeba mi było więcej.

W oczekiwaniu tej skromnej przyszłości, błądziłem kilka dni koło miasta, koczując u znajomych wieśniaków, którzy przyjęli mnie z dobrocią większą niżbym ją mógł znaleźć u mieszkańców miasta. Przygarnęli mnie, dali nocleg, nakarmili; wszystko z poczciwością i prostotą nie roszczącą sobie pretensji do żadnej zasługi. Tego nie można nazwać dobroczynnością: zbyt mało wkładali w swą ludzkość poczucia wyższości.

W ciągu tych wędrówek, zapuściłem się aż do Confignon, miejscowości w Sabaudji, o dwie mile od Genewy. Proboszcz tameczny nazywał się ksiądz de Pontverre. Nazwisko to, słynne w historii Rzeczypospolitej, uderzyło mnie wielce. Ciekaw byłem zobaczyć, jak wyglądają potomkowie rycerzy z la Cuiller. Wstąpiłem do księdza de Pontverre; przyjął mnie łaskawie, mówił o herezji genewskiej, o powadze świętej matki Kościoła i zatrzymał mnie na obiad. Nie miałem repliki na argumenty które kończyły się w ten sposób; osądziłem, że księża u których tak smacznie się jada, warci są conajmniej naszych pastorów. Byłem z pewnością bardziej kuty w naukach od księdza de Pontverre, mimo całego jego szlachectwa; ale byłem zbyt dobrym kompanem, aby być równie dobrym teologiem; francuskie wino, w istocie przednie, argumentowało tak zwycięsko za swego gospodarza, że uważałbym sobie za hańbę zamykać mu usta. Ustępowałem tedy, a przynajmniej nie oponowałem wręcz. Patrząc na me wykręty, mógłby mnie ktoś pomówić o fałsz; niesłusznie: byłem jedynie grzeszny. Pochlebstwo, a raczej ustępliwość, nie zawsze jest przywarą; częściej jest cnotą, zwłaszcza u młodych. Dobroć, z jaką ktoś odnosi się do nas, przywiązuje: ustępujemy, nie aby wprowadzić w błąd, ale aby nie sprawić przykrości, aby nie odplacić złem za dobre. Jakiż interes mógł mieć ksiądz de Pontverre przygarniając mnie, obchodząc się ze mną po ludzku, starając się mnie przekonać? żadnego, chyba mój własny. Moje młode serce mówiło mi to. Byłem przejęty wdzięcznością

tury bardzo tkliwej, wciąż dręczonej obawą narażenia się komuś. Przytem, jakkolwiek posiadałem dość wykształcenia, nie obracając się nigdy w świecie, nie znałem zupełnie form; a wiadomości moje nietylko nie mogły ich zastąpić, ale jeszcze pomnażały onieśmienie, dając mi świadomość własnych braków.

Lękając się tedy, iż sam mój widok nie usposobi zbyt korzystnie nowej opiekunki, postanowiłem inaczej wyzyskać swoje przewagi. Skomponowałem piękny list w stylu retorycznym, gdzie, sztukując książkowe zwroty gwarą terminatora, rozwinąłem całą elokwencję, aby sobie zjednać przychyłość pani de Warens. Włożyłem list księdza de Pontverre w mój własny i ruszyłem na straszliwą audjencję. Nie zastałem pani de Warens w domu; powiedziano mi, że przed chwilą wyszła do kościoła. Była to niedziela palmowa roku 1728. Biegnę, aby ją dogonić: widzę ją, przystępuję do niej, mówię... Ach, jak żywo mam przed oczyma miejsce tego spotkania; ileż razy później zlewałem je łzami i okrywałem pocałunkami! Czemuż nie mogę otoczyć złotą barjerą tego błogosławionego miejsca! czemuż nie mogę ściągnąć doń hołdów całego świata! Ktokolwiek umie czcić święte pamiątki zbawienia człowieka, nie powinien się tam zbliżać inaczej niż na kolanach.

Była to ścieżka za domem, między strumykiem, który ją, po prawej ręce, oddzielał od ogrodu, a murem okalającym podwórze po lewej. Ścieżka ta prowadziła bocznemi drzwiczkami do kościoła Franciszkanów. Mając już wejść, pani de Warens odwróciła się na mój głos. Jakichż uczuć doznałem na ten widok! Wyobrażałem sobie starą, zasuszoną dewotkę; „zacna dama“ księdza de Pontverre nie mogła być, w mem pojęciu, czem innem. Ujrzałem piękną twarz, piękne niebieskie oczy pełne słodyczy, olśniewającą pleć, kształty porywające urokiem. Nic nie uszło szybkiemu rzutowi oka młodego prozelity; stałem się nim bowiem w jednej chwili, pewien, iż religja głoszona przez takich misjonarzy nie może prowadzić gdzieindziej niż do rajy. Wzięła z uśmiechem list, który podałem jej drżącą ręką, otworła, rzuciła okiem na pismo księdza de Pont-

verre, wróciła do mego, które przeczytała w całości, i byłaby odczytała raz jeszcze, gdyby służący nie zwrócił uwagi, że już czas do kościoła. „Och, dziecko, rzekła tonem który przypawił mnie o drżenie, zbyt młodo znalazłeś się na gościńcu; to niedobrze“. Następnie, nie czekając odpowiedzi, dodała: „Wejź do domu i poczekaj na mnie; powiedz, żeby ci dano śniadanie; skoro się skończy msza, porozmawiamy“.

Ludwika Eleonora de Warens, z domu de la Tour de Pil, pochodziła ze szlacheckiej i starożytnej rodziny w Vevai, w kantonie Vaud. Zaślubiła, bardzo młodo, pana de Warens z domu Loys, starszego syna pana de Villardin z Lozanny. Małżeństwo to, zresztą bezpotomne, nie było szczęśliwe. Pani de Warens, popchnięta do tego kroku jakimś domowym zatargiem, skorzystała z pobytu króla Wiktora-Amedeusza w Evian, aby przebyć jezioro i rzucić się do stóp władcy: tem samem, w chwili szaleństwa dość podobnej do mego i którego również przyszło jej żałować, opuściła w jednej godzinie męża, dom i kraj rodzinny. Król, który lubił grać rolę żarliwego katolika, wziął ją pod swą opiekę, wyznaczył jej tysiąc pięćset funtów piemonckich penesji, co było dużo na księcia mało hojnego z natury: a widząc że ściągnął tem na siebie posądzenie o miłośćkę, wysłał swą pupilkę, pod eskortą oddziału gwardji, do Annecy, gdzie, w klasztorze Zwiastowania, pod kierunkiem Michała Gabryjela de Bernex, tytularnego biskupa Genewy, dopełniła zmiany wyznania.

W chwili mego przybycia, bawiła tam już od lat sześciu; sama liczyła ich dwadzieścia ośm, przyszła bowiem na świat wraz ze stuleciem. Uroda pani de Warens była z tych, które trwają długo, ponieważ są bardziej w wyrazie niż w rysach; piękność jej promieniowała jeszcze pierwszym blaskiem. Miała wyraz pieszczotliwy i czuły, łagodne spojrzenie, anielski uśmiech, usta na miarę moich, rzadkiej piękności popielate włosy, których swobodne i proste uczesanie stroiło ją dziwnym powabem. Była niedużego wzrostu, mała nawet i nieco krótka w stanie, jakkolwiek bez niekształtności; nie-

podobna natomiast spotkać piękniejszej głowy, gorsu, piękniejszych rąk i ramion.

Wychowanie jej było bardzo różnorodne. Straciła, podobnie jak ja, matkę przychodząc na świat; uczyła się przygodnie, od kogo się zdarzyło; nieco od ochmistrzyni, od ojca, od nauczycieli, a wiele od swoich kochanków, szczególnie od niejakiego pana de Tavel, który, sam obdarzony niepospolitym smakiem i wiadomościami, umiał niemi wzbogacić umysł ukochanej. Ale, wśród tylu odmian wykształcenia, jeden kierunek sprzeciwiał się drugiemu; wskutek braku porządku, nie wszystkie wiadomości pogłębiły się w takim stopniu, jakby to było możliwe przy naturalnej jej bystrości. I tak, mimo iż posiadała nieco wiadomości z zakresu filozofji i fizyki, nie umiała się oprzeć upodobaniu, jakie przejęła po ojcu do medycyny empirycznej i do alchemji. Sporządzała eliksiry, maści, balsamy, specyfikiki; twierdziła że posiada jakieś tajemnice. Szarlatani wszelakiego rodzaju, korzystając z tej słabostki, zawładnęli nią, opętali ją, doprowadzili do ruiny, i pośród tyglów i odwarów strawili jej umysł, talenty i uroki, dzięki którym mogła była stać się rozkoszą najwykwintniejszych towarzyszt.

Ale, jeśli nikczemni szalbierze nadużyli braków nieporządnego wykształcenia aby zaciemnić jej umysł, doskonale jej serce przetrawało wszystkie próby i zawsze zostało jednakie: natura kochająca i słodka, tkliwość dla nieszczęśliwych, niewyczerpana dobroć, wesołość, otwarte i szczerze usposobienie nie zmieniły się nigdy; i nawet w obliczu starości, wśród niedostatku, nieszczęść i klęsk, pogoda jej pięknej duszy zachowała do końca wesołość najszcześniejszych dni.

Błędy pani de Warens wynikały z jej natury niewyczerpanie czynnej i wciąż potrzebującej zatrudnienia. Ale czynność ta nie szła w kierunku jakichś kobiecych intryzek; żywiołem jej były wielkie przedsięwzięcia. Pani de Warens była urodzona do wielkich spraw. W jej położeniu pani de Longueville byłaby tylko wścibską kumoszką; w roli pani de Longueville ona trzęsłaby państwem. Ta-

lenty jej nie były na swoim miejscu; to, co byłoby jej chlubą na wyżynach, stało się jej zgubą w warunkach w jakich jej życie wypadło. W każdej rzeczy która ją zaprzętała, plan rozrastał się w jej głowie; każdy przedmiot widziała w powiększeniu. Z tego wynikało, iż, używając środków zastosowanych bardziej do zamiarów niż do sił, załamywała się; kiedy projekty zawiodły, groziła jej ruina, tam gdzie ktoś inny byłby stracił bardzo niewiele. Ta namiętność do interesów, która jej wyrządziła tyle złego, oddała jej bodaj jedną przysługę: tę, że się nie dała jej zagrzebać na całe życie w klasztorze, jak to zrazu było jej zamiarem. Jednostajne i proste życie zakonnic, codzienna paplaninka w parlatorjum, wszystko to nie mogło skusić umysłu będącego w nieustannym ruchu, i który, tworząc co dnia nowe systematy, potrzebował swobody aby się im poświęcić. I nie brak żarliwości był powodem, że ta urocza kobieta nie zamknęła się cała w drobnych praktykach, jakby to przystało osobie świeżo nawróconej, żyjącej pod okiem prałata. Jakakolwiek pobudka wpłynęła na zmianę jej religji, raz ją zmieniwszy, była szczerą w swej wierze. Żałowała może, iż popelniła ten błąd, ale nie pragnęła się cofnąć. Nietylko umarła jako dobra katoliczka, ale była nią i za życia. Ja, który, sądząc, czytałem w jej duszy, śmiem twierdzić, że jedynie ze wstrętu przed ostentacją nie okazywała publicznie swej pobożności: wiara jej była zbyt gruntowna, aby udawać dewocję. Ale nie tu miejsce rozwodzić się nad jej zasadami; kiedyindziej będę miał sposobność pomówić o nich.

Niech ci, którzy przeczą sympatji dusz, wytlómaczą, jeśli potrafią, w jaki sposób, od pierwszego widoku, od pierwszego słowa, spojrzenia, pani de Warens tchnęła we mnie nietylko najżywsze przywiązanie, ale i doskonałą ufność, która nigdy się nie zachwiała. Przypuśćmy, że to com uczuł było w istocie miłością: rzecz, która wyda się conajmniej wątpliwa temu, kto będzie dalej śledził historję naszego stosunku; w jaki tedy sposób namiętności tej mogły, od samych narodzin, towarzyszyć uczucia najbardziej jej zazwyczaj obce, jak spokój serca, ufność, pogoda, bezpieczeństwo, pew-

ność? W jaki sposób, przystępując po raz pierwszy do uroczej, wykwintnej, świetnej kobiety, damy przerastającej mnie o całe niebo pozycją, istoty do jakiej nigdy dotąd nie zbliżyłem się nawet, do tej, od której zależał poniekąd mój los, stosownie do mniejszego albo większego zainteresowania jakie obudzę; w jaki sposób, powiadam, czulem się w jednej chwili tak swobodny, radosny, jakgdybym miał zupełną pewność jej sympatji? W jaki sposób nie miałem ani chwili zakłopotania, nieśmiałości, przymusu? Z natury wstydlivy, nierówny, nie umiejący się zachować, w jaki sposób znalazłem z nią, od pierwszego dnia, od pierwszej chwili, tę łatwość; te serdeczne słówka, ten swobodny ton, jaki miałem w dziesięć lat później, gdy najbliższe współzycie nasze mogło go uczynić naturalnym? Czy można czuć miłość, nie mówię bez pragnień: doznawałem ich; ale bez niepokoju, zazdrości? Czy nie czuje się bodaj potrzeby usłyszenia z ust ukochanego przedmiotu czy się jest wzajem kochanym? Otóż, w życiu nie przyszło mi na myśl pytać ją o to, tak jak nie pytałem siebie czy ją kocham; i ona, w stosunku do mnie, również nie zdradzała tej ciekawości. Było coś szczególnego w uczuciach moich dla tej uroczej kobiety, i, w dalszym ciągu, czytelnik spotka się z mnóstwem nieoczekiwanych szczegółów.

Zacząła się narada nad tem, czem mam zostać; aby swobodniej pomówić, pani de Warens zatrzymała mnie na obiad. Był to pierwszy posiłek w życiu, przy którym apetyt mi nie dopisał; dziewczyna, która nam usługiwała, powiadała również, że jestem pierwszym wędrowcem mego wieku i stanu, u którego spotyka się z tym brakiem. Uwaga ta, która na pani jej uczyniła raczej korzystne wrażenie, rzucona była poniekąd pod adresem tegoż draba, również włóczęgi, który jadł z nami, i który, sam jeden, pożarł przyzwoity obiad na sześć osób. Co do mnie, byłem jakby w zachwyceniu które nie pozwalało mi jeść. Serce moje karmiło się nowem uczuciem, które wypełniało całą mą istotę; nie zostało we mnie tchu na żadną inną czynność.

Pani de Warens chciała posłyszeć szczegóły moich skromnych

dziejów; opowiadając je, odnalazłem całą żywość, którą straciłem u majstra. Im bardziej udało mi się zjednać sympatję tej wybornej istoty, tem bardziej ubolewała nad losem na jaki miałem się narażić. Tkliwe współczucie wyrażało się w jej twarzy, spojrzeniu, ruchach. Nie śmiała mnie upominać, abym wrócił do Genewy; w jej położeniu, byłoby to zbrodnią wobec katolicyzmu, a nie było jej tajne, pod jak ścisłym była dozorem i jak ważono jej słowa. Ale mówiła mi tak wzruszająco o zgryzocie mego ojca, że widziałem dobrze, iż byłaby w duchu przyklasnęła zamiarowi powrotu. Nie wiedziała, jak bardzo, mimo woli, wymowa jej działa przeciw jej chęciom. Jak już, o ile mi się zdaje, wspominałem, byłem zdecydowany w mem postanowieniu; obecnie, im bardziej mentorka zdała mi się wymowną i przekonującą, im bardziej wywody jej wnikały mi do serca, tem mniej mogłem się pogodzić z myślą, bym się miał od niej oderwać. Czulem, że wrócić do Genewy znaczyłoby postawić między nią a sobą zaporę prawie nie do przebycia; chyba żebym znów uciekł się do kroku, który uczyniłem: w takim razie lepiej zostać przy nim odrazu. Tak się też stało. Pani de Warens, widząc bezowocność wysiłków, nie posunęła ich aż do nieostrożności względem samej siebie; rzekła jeno z pełnem współczuciem spojrzeniem: „Biedny mały, trzeba ci iść tam, dokąd Bóg cię wzywa; ale, kiedy dorośniesz, wspomnisz moje słowa“. Sądzę, iż nie myślała sama, aby ta przepowiednia miała się ziścić tak okrutnie.

Główna trudność była wciąż nierozwiązana. W jaki sposób, w tak młodym wieku, znaleźć w obcym kraju utrzymanie? Przebywszy ledwie połowę nauki, daleki byłem od posiadania arkanów rzemiosła. Zresztą, gdybym je był nawet posiadał, nie mógłbym zeń żyć w Sabaudji, kraju zbyt biednym aby hodować sztuki. Włóczęga, który jadł obiad za nas, zmuszony przerwać na chwilę aby dać odpocząć szczękom, oświadczył się z radą, o której mówił iż pochodzi z nieba, a która, jeśli sądzić po skutkach, pochodziła raczej z przeciwnej strony: mianowicie, abym się udał do Turynu. Tam, w przytulisku dla katechumenów, znajduję środki (mówił) do cieles-

nego i duchowego życia aż do czasu, w którym, wstąpiwszy na łono Kościoła, otrzymam, dzięki miłosierdziu dobrych dusz, odpowiednie miejsce. Co się tyczy kosztów podróży, ciągnął dalej obieżyświat, jego wielbność ksiądz biskup nie omieszka, jeżeli pani mu podsunie to świątobliwe dzieło, dostarczyć, w swem miłosierdziu, środków; pani baronowa zaś, która jest tak dobroczynna, rzekł pochyłając się nad talerzem, niewątpliwie również przyłoży się do tego.

Całe to miłosierdzie było mi bardzo ciężkie: serce mi się ściśnęło, nie mówiłem nic. Pani de Warens, nie chwytając się tego projektu z równym zapalem, odrzekła tylko, że każdy powinien, wedle możliwości, przykładać się do dobrych uczynków, i że pomówi o tem z Jego Wielbnością. Ale ten ciemny osobnik, który obawiał się snąć, iż rozmowa może wypaść nie po jego myśli i który chciał w tej sprawie upiec swoją pieczeń, pobiegł uprzedzić wikarjuszów i obrobił dobrych księży tak skutecznie, że, gdy pani de Warens, która lękała się dla mnie tej podróży, spróbowała mówić o niej z biskupem, przekonała się, iż cała sprawa jest już załatwiona. Doręczono jej nawet bezzwłocznie pieniądze, przeznaczone na mój podróży fundusik. Nie śmiała nalegać aby mnie zostawiono: zbliżałem się do wieku, w którym kobieta w jej latach nie może, bez uchybienia przyzwoitości, zatrzymywać przy sobie młodego człowieka.

Wobec decyzji osób, które zajmowały się mym losem, trzeba się było poddać; uczyniłem to nawet bez niechęci. Jakkolwiek Turyn był dalej niż Genewa, mniemałem, iż, jako stolica, musi posiadać z Annecy ściślejsze stosunki niżli odrębna państwowo i wyznaniowo Genewa: a przytem, wyruszając tam z woli i na życzenie pani de Warens, miałem uczucie iż żyję wciąż pod jej kierunkiem i opieką; co było więcej niż żyć w jej pobliżu. Wreszcie, myśl o wielkiej podróży schlebiała mojej wędrowniczej manji, która już wówczas zaczynała się objawiać. Zdawało mi się czemś pięknem przewędrować w moim wieku góry i wznieść się nad głowy kolegów o całą wysokość Alp. Zwiedzić kawał świata, to ponęta, której

mieszkaniec Genewy nie umie się oprzeć. Przystałem tedy na wszystko. Obieżyświat miał wyruszyć za dwa dni ze swą połowicą. Powierzono mnie i polecono ich staraniom. Oddano im moją sakiewkę, skrzepioną przez panią de Warens, która, prócz tego, wsunęła mi tajemnie mały fundusik, dołączając obszerne instrukcje; poczem wyruszyliśmy w Wielką Środę.

Nazajutrz po mym wyjeździe z Annecy, przybył tam ojciec, goniąc moim śladem wraz z panem Rival, swoim przyjacielem, zegarmistrzem jak on, sprytnym człowiekiem, wcale wykształconym nawet, który układał wiersze lepsze niż La Motte i mówił też prawie tak dobrze; był to zacny człowiek, ale, z całą swoją manją literacką, doprowadził tylko do tego, iż syn jego został komedjantem.

Obaj ci panowie odwiedzili panią de Warens i zadowolili się tem, iż, wspólnie z nią, uronili parę łez nad mym losem, miast jechać za mną i dogonić mnie, co było bardzo łatwe wobec tego iż byli na koniach a ja pieszo. To samo powtórzyło się z wujem Bernardem. Przybył do Conignon, i tam, dowiedziawszy się że jestem w Annecy, wrócił do Genewy. Zdawałoby się, że moi bliscy byli w zmowie z mą gwiazdą, aby mnie wydać losowi który mnie oczekiwał. Brat zaginął przez podobne zaniedbanie i przepadł tak dobrze, że nigdy nie dowiedziano się co się z nim stało.

Ojciec był nie tylko człowiekiem honoru, ale i nieskazitelnej uczciwości, z duszą zdolną wznieść się na wysokie szczyble cnoty; co więcej, był dobrym ojcem, zwłaszcza dla mnie. Kochał mnie czule; ale kochał też swoje przyjemności; inne przywiązania osłabiły miłość ojcowską, zwłaszcza od naszego rozłączenia. Ożenił się powtórnie w Nyon; żona, nie będąc już w wieku w którymby mogła dać mi braci, miała zato krewnych; nowa rodzina, nowe twarze, nowe gospodarstwo: to wszystko zacierało pamięć o mnie. Ojciec posuwał się w lata, nie mając żadnego majątku ani zabezpieczenia starości. Ja i brat mieliśmy po matce jakiś mająteczek, z którego dochód, w czasie naszej nieobecności, przypadał oczywiście ojcu. Myśl ta nie nasuwała mu się wprost, jasno, i nie byłaby go wstrzy-

mała od spełnienia obowiązku; ale działała podziemnie, bez świadomości z jego strony, i ostudzała niekiedy gorliwość którą byłby może dalej posunął w innych okolicznościach. Oto, jak mniemam, czemu, przybywszy do Annecy w moje ślady, nie pospieszył za mną do Chambéri, gdzie miał moralną pewność że mnie odnajdzie. Oto również czemu, ilekroć odwiedziłem go od czasu mej ucieczki, zawsze znalazłem u niego tę samą ojcowską serdeczność, ale bez wielkich starań aby mnie zatrzymać.

To postępowanie ojca, którego przywiązanie i cnota były mi znane, pobudziło mnie do dumań nad samym sobą, a rezultat ich niemal się przyczynił do moralnego zdrowia mego serca. Wyciągnąłem stąd tę maksymę moralną, jedyną może mającą praktyczne znaczenie, iż należy unikać sytuacji, które stawiają nasze obowiązki w sprzeczności z naszymi interesami i ukazują nam własną korzyść w cudzej szkodzie; w takich okolicznościach, mimo najszczerzego umiłowania cnoty, prędzej czy później, samemu nie wiedząc o tem, słabnie się; człowiek staje się zły i niesprawiedliwy w czynie, nie przestając być sprawiedliwym i dobrym w duszy.

Ta maksyma, głęboko wyciśnięta w mem sercu i przeprowadzona, jakkolwiek nieco późno, w całym postępowaniu, jest jedną z tych, które mi dały pozory największego dziwactwa, nawet szaleństwa, zwłaszcza między znajomymi. Okrzyczano mnie, że chcę być oryginałem i robić inaczej niż drudzy. W rzeczywistości, nie myślałem ani o tem żeby robić jak drudzy, ani żeby robić inaczej. Pragnąłem jedynie szczerze robić to, co jest dobre. Usuwałem się całą mocą od sytuacji, któreby mój interes stawiały w sprzeczności z interesem cudzym, a tem samym mogły wszczepić tajemne, choć mimowolne, pragnienie czyjejs krzywdy.

Przed dwoma laty, milord-marszałek chciał pomieścić w swym testamencie zapis na moją korzyść. Sprzeciwiłem się ze wszystkich sił. Oświadczyłem, że nie chciałbym za nic w świecie wiedzieć, iż figuruję w czyimkolwiek testamencie, a już najmniej jego. Ustąpił. Obecnie chce mi dać dożywotnią pensję; nie sprzeciwiam się. Po-

wie ktoś, że nieźle wychodzę na zamianie: może. Ale, o mój dobroczyńco i ojcze! jeśli będę miał nieszczęście cię przeżyć, wiem, że tracąc cię, wszystko mam do stracenia a nic do zyskania.

Oto, podług mnie, zbawienna filozofja, jedynie zgodna z sercem człowieka. Z każdym dniem umacniam się w przekonaniu o jej głębokich podstawach; roztrząsałem ją w najrozmaitsze sposoby w ostatnich pismach; ale płocho i bezmyślna publiczność nie zwróciła na to uwagi. Jeśli, skończywszy to dzieło, będę żył jeszcze dość długo aby podjąć nowe, mam nadzieję dać, w dalszym ciągu *Emila*, tak wspaniały i uderzający przykład tej zasady, że czytelnik będzie musiał uznać jej oczywistość. Ale, jak na podróżnika, za wiele tych refleksyj: czas mi w drogę.

Wypadła ona milej, niż mogłem się spodziewać; urwipoleć nie był tak srogі jak wyglądał. Był to mężczyzna w średnim wieku, ze związanemi z tyłu szpakowatemi włosami, z grenadjerską miną, donośnym głosem, dość wesoly, tęgi piechur, jeszcze tęższy żarłok. Chwytał się wszelakiego rzemiosła, nie mając pojęcia o żadnem. O ile mi się zdaje, stworzył projekt, aby założyć w Annecy fabrykę, nie wiem już czego. Pani de Warens pierwsza dała się w to wciągnąć i właśnie ta podróż, którą odbywał, nie na swój koszt oczywiście, do Turynu, miała na celu uzyskanie zgody ministra. Człowiek ten miał talent chodzenia koło swoich interesów; wieszając się ustawicznie przy księżach i udając zelanta, przyswoił sobie w ich szkole świątobliwą gwarę, którą posługiwał się nieustannie, mając się tem samem za wielkiego kaznodzieję. Znał nawet jeden łaciński ustęp z Biblii; co było tak jakgdyby ich znał tysiąc, powtarzał go bowiem tysiąc razy dziennie. Pozatem, nielatwo brakło mu pieniędzy, kiedy wiedział iż znajdują się w mieszkaniu bliźniego: operował wszelako więcej zręcznością niż prostem hultajstwem. Wogóle, ze swą miną obieżyświata a namaszczeniem kaznodziei, podobny był do pustelnika Piotra, gdy z mieczem przy boku zagrzewał ludy do wojny krzyżowej.

Co się tyczy pani Sabran, jego małżonki, była to niezła kobie-

cina, spokojniejsza w dzień niż w nocy. Ponieważ sypiałem zawsze w ich pokoju, hałaśliwe jej bezsenności budziły mnie często i byłyby budziły o wiele więcej jeszcze, gdybym rozumiał ich przyczynę. Ale nawet mi się to nie śniło; na tym punkcie, zachowałem naiwność, która samej naturze zostawiła troskę mego uświadomienia.

Wędrowałem tedy wesoło w towarzystwie nabożnego przewodnika i jego fertycznej towarzyszki. Żaden wypadek nie zakłócił podróży. Czulem się w tak szczęśliwym usposobieniu ciała i ducha, jak jeszcze nigdy. Młody, silny, pełen zdrowia, animuszu, zaufania do siebie i drugich, znajdowałem się w owym krótkim ale cennym momencie życia, w którym poczucie jego pełni zstokrotnia niejako wrażliwość i upiększa całą przyrodę urokiem naszego istnienia. Co więcej, mój słodki niepokój związany był z przedmiotem, który go czynił mniej błędnym i przykuwał mą wyobraźnię.

Uważałem się za dzieło, za wychowanka, przyjaciela, niemal kochanka pani de Warens. Przyjazne słowa których mi nie szczędziła, macierzyńskie pieszczoty, tkliwe zainteresowanie jakie mi okazywała, urocze spojrzenia które zdawały mi się pełne miłości ponieważ tchnęły ją we mnie: wszystko to dawało pokarm myślom w drodze i wprawiało mnie w stan rozkosznego marzenia. Żadna obawa, żadna niepewność przyszłego losu nie mąciła tych rojeń. Wysłać mnie do Turynu, znaczyło, w moich oczach, zobowiązać się dostarczyć mi sposobu do życia, przyzwoitego stanowiska. Przystałem się zupełnie troszczyć o siebie; inni zajęli się już tym kłopotem.

Wędrowałem tedy z lekkim sercem, zrzuciwszy z niego ten ciężar; młode pragnienia, urocze nadzieje, świetne projekty napełniały mą duszę. Każdy ujrzany przelotnie przedmiot zdawał się rękojmią przyszłej szczęśliwości. W domach, spotkanych po drodze, wyobrażałem sobie sielskie festyny, na łąkach rozkoszne igraszki, koło rzek i stawów, rybołówstwo; na drzewach, smaczne owoce; w ich cieniu, rozkoszne sam-na-sam; w górach, dzieje mleka i śmietany, lube wywczasy, spokój, prostotę, rozkosz błędzenia bez

drogi i celu. Słowem, cokolwiek ściągnęło moje oczy, wraz zwiastowało sercu nowe jakieś uciechy. Majestat, różnaitość, istotna piękność spotykanych dokoła widoków, usprawiedliwiały w oczach rozsądku te upojenia; próżność także dodawała tu swej zaprawy. W tak młodym wieku wędrować do Włoch, zwiedzić już tyle kraju, ciągnąć śladem Hanibala przez góry, zdawało mi się chwałą przetrastającą moje lata. Dodajcie do tego częste i sute popasy; potężny apetyt i środki do zaspokojenia go; poprawdnie bowiem, nie warto było na mnie oszczędzać i przy obiadach pana Sabran zupełnie znać nie było mego posiłku.

Nie przypominam sobie, abym, w całym życiu, przeżył okres równie wolny od trosk i zgryzoty, jak owych siedm czy ośm dni, które trwała podróż: tempo bowiem w jakim kroczyła pani Sabran a do którego trzeba było się stosować, uczyniło z tej drogi długą przechadzkę. Wspomnienie to zostawiło mi najżywsze upodobanie do wszystkiego co się z niem łączy, zwłaszcza do gór i do pieszych podróży. Podróżowałem pieszo jedynie za moich pięknych dni i zawsze z rozkoszą. Z czasem, obowiązki, interesy, pakunki, zmusiły mnie do odgrywania „pana“ i do brania wehikułów; pałące troski, kłopoty, skrępowanie wsiadały do nich ze mną. Gdy dawniej, w podróżach moich, czułem jedynie rozkosz wędrowania, odtąd miejsce jej zastąpiła niecierpliwość przybycia do celu. W Paryżu, szukałem długo dwóch towarzyszy o podobnych moim upodobaniach, którzyby gotowi byli poświęcić po pięćdziesiąt ludwików i rok czasu, aby razem, piechotą, zwędrować Włochy, za całą usługę biorąc chłopca któryby niósł woreczek z podręcznym przyborem. Ofiarowało się wielu, zachwyconych na pozór projektem, ale w gruncie uważających go za czystą chimere, o której się gawędzi, nie mając zamiaru jej urzeczywistnić. Przypominam sobie, że, rozmawiając z pasją o tym zamiśle z Diderotem i Grimmem, ożywiłem ich wreszcie mym zapalem. Myślałem, że sprawa już postanowiona: wszystko ograniczyło się do podróży na papierze, w której Grimm, jako najlepszy dowcip, każe Diderotowi popel-

nić mnóstwo bezbożności, i mnie, miast niego, wydaje w ręce Inkwizycji.

Żal, iż tak rychło dotarliśmy do Turynu, złagodziła uciecha z widoku dużego miasta i nadzieja iż niebawem zajmę tam godne stanowisko: już uderzyła mi do głowy ambicja; już uważałem się za coś więcej niż terminatora. Daleki byłem od przewidywania, że, niebawem, znajdę się o wiele niżej tego stanu.

Nim pójdę dalej, winien jestem usprawiedliwić się przed czytelnikiem i przeprosić go za błahostki nad którymi się rozwiódłem jak również i za inne w które zapuszczę się niebawem, a które wydadzą mu się może równie niezajmujące. Skoro raz postanowiłem pokazać całkowicie siebie, chcę, aby nic nie zostało w ciemności lub w ukryciu; chcę nieustannie być na oczach czytelnika; chcę, aby mi towarzyszył we wszystkich zbląkaniach serca, we wszystkich zaulkach życia; aby mnie nie stracił z oczu ani na chwilę, z obawy by, znalazłszy w opowiadaniu najmniejszą lukę, najmniejszą przerwę, i spytawszy samego siebie: „Co robił przez ten czas?“ aby, powiadam, nie obwiniał mnie, że nie chciałem wszystkiego powiedzieć. Dość daję strawy złośliwości ludzkiej przez swoje wyznania, nie chcę dostarczać jej jeszcze przez przemilczenie.

Fundusik mój zniknął: wygadałem się z nim, opiekunowie zaś umieli skorzystać z tego zbytku szczerości. Pani Sabran znalazła sposób wydarcia mi nawet srebrnej szarfy, którą pani de Warens dała mi dla przypasania mojej szpadki: ta strata była mi najdotkliwsza. I szpada byłaby została w ich rękach, gdybym się stanowczo nie sprzeciwił. Dali mi sumienne utrzymanie przez drogę, ale nie zostawili mi absolutnie nic. Przybyłem do Turynu bez odzieży, bez pieniędzy, bez bielizny: chwała mego losu miała być dziełem wyłącznie mej osobistej zasługi.

Miałem listy, oddałem je wedle adresu; natychmiast zaprowadzono mnie do konwiktu katechumenów, celem obznajmienia z zasadami religji, za którą sprzedawano mi utrzymanie. Wchodząc, ujrzałem wielką bramę z żelaznemi sztabami, która, skoro tylko

wszedłem, zatrzasnęła się na dwa spusty. Ten początek wydał mi się bardziej imponujący niż przyjemny i zaczynał mi dawać do myślenia, kiedy mnie wprowadzono do dość dużej sali. Ujrzałem, za całe umeblowanie, drewniany ołtarz, ustawiony pod wielkim krucyfiksem, dokoła zaś kilka również drewnianych krzeseł. Krzesła te zdawały się woskowane, ale były tylko błyszczące od użytku i wycierania. W sali tej znajdowało się czterech czy pięciu ohydnych bandytów, moich towarzyszków nauki, którzy wyglądali raczej na leibgardzistów diabła, niżli na aspirantów do godności dzieci bożych. Dwaj z tych opryszków byli to Esklawończycy, jeden rzekomo żyd, drugi Mahometanin. Obaj, jak mi sami wyznali, trawili życie na wędrownkach po Hiszpanji i Włoszech, przyjmując katolicyzm i dając się chrzcić wszędzie gdzie były widoki że się to opłaci. Otworzono drugie żelazne drzwi, które dzieliły na dwoje balkon, wychodzący na podwórze. Przez te drzwi, weszły siostry katechumenki, które miały, jak ja, odrodzić się nie przez chrzest, ale przez solenne wyrzeczenie się herezji. Były to największe pluchy i najostatniejsze ładacznice, jakie kiedykolwiek zapaskudziły owczarnię Pana. Jedna tylko wydała mi się ładna i interesująca. Była mniejwięcej w moim wieku, może o rok lub dwa starsza. Miała szelmoskie oczy, które spotykały się niekiedy z moimi. To obudziło we mnie chęć zawarcia z nią znajomości; ale, przez niespełna dwa miesiące, które mieszkała w tym domu, niepodobna mi było zbliżyć się do niej, tak czujną opiekę roztoczyła nad nią stara dozorczyńni i tak pilnie zagarnął ją święty misjonarz, który pracował nad jej nawróceniem z większym zapalem niż pośpiechem. Musiała być wyjątkowo tępą, mimo iż nie wyglądała na to, nigdy bowiem podobne przygotowanie nie wlokło się dłużej. Świętobliwy człowiek wciąż znajdował, że nie jest dojrzała do uroczystego aktu. Wreszcie znudzila się zamknięciem i oświadczyła, że chce wyjść, nawrócona czy nie. Trzeba ją było wziąć za słowo, póki godziła się jeszcze poddać tej operacji, z obawy że może skaprysić i już nie chcieć.

Całą tę małą gminę zgromadzono na cześć nowego przybysza. Udzielono nam krótkiego napomnienia; mnie, aby mnie zachęcić do godnego odpowiedzenia łasce, jaką Bóg na mnie zsyła, innym, aby zechcieli wspierać mnie modlitwą i budować przykładem. Następnie, dziewice wróciły do swej zagrody, ja zaś miałem czas rozejrzeć się po naszej.

Nazajutrz rano, zebrano nas znów na naukę; wówczas zacząłem, po raz pierwszy, zastanawiać się nad krokiem, jaki miałem uczynić, i nad okolicznościami, które mnie do niego przywiodły.

Powiedziałem, powtarzam i powtórzę jeszcze rzecz, w której każdy dzień coraz więcej mnie umacnia: a to że, jeżeli kiedy dziecko otrzymało wychowanie rozumne i zdrowe, to tem dzieckiem byłem ja. Przyszędłszy na świat w rodzinie, tradycją i obyczajami wyrastającej nad zwykle pospółstwo, miałem dokoła siebie, wśród krewnych, jedynie wzory cnoty i przykłady honoru. Ojciec, mimo iż lubiący żyć, był człowiekiem nietylko z gruntu uczciwym, ale także bardzo religijnym. Był to człowiek światowy między ludźmi, chrześcijanin w domowym ognisku; jakoż, wszczepił mi wcześniej uczucia któremi był przeniknięty. Ciotki moje, wszystkie trzy, były cnotliwe i zacne. Dwie starsze były wybitnie nabożne; trzecia, osoba pełna wdzięku, dowcipu i rozsądku, była może pobożniejsza od nich, mimo iż z mniejszą ostentacją. Z łona tej godnej rodziny, dostałem się do pana Lambercier, który, mimo iż duchowny i kaznodzieja, był człowiekiem wierzącym i czynił prawie równie dobrze jak nauczał. Siostra jego i on, rozwinęli, zapomocą rozumnych i łagodnych nauk, zasady pobożności, które zastali w mem sercu. Ci zacni ludzie używali do tego celu środków tak prostych, tak umiarkowanych, tak mądrych, że nietylko nie nudziłem się na kazaniu, ale zawsze wychodziłem wzruszony do głębi i pełen postanowień lepszego życia: postanowień którym rzadko chybiałem, o ile myślałem o tem. W domu ciotki Bernard nabożność była mi uciążliwsza, bo ciotka czyniła z niej rzemiosło. U majstra nie myślałem wcale o tych rzeczach: co nie znaczy, bym myślał o nich odmiennie. Nie

spotkałem tam młodych ludzi, którzyby mnie zepsuli w tym względzie. Byłem wisusem, ale nie niedowiarkiem.

Byłem tedy człowiekiem religijnym, w stopniu w jakim może być dziecko w moim wieku. Może i więcej; czemuż bowiem nie rzec otwarcie co myślę? Dzieciństwo moje nie miało cech dziecińczych; czułem, myślałem zawsze jak człowiek dorosły. Dopiero wracając, osunąłem się do pospolitej klasy; przychodząc na świat, wyszedłem z niej. Może się ktoś śmiać ze mnie, iż z taką skromnością podaję się tu za fenomen. Dobrze: ale kiedy się wyśmieję dosyta, niechaj mi znajdzie dziecko, które, w szóstym roku życia, czytanie powieści zajmuje, przykuwa, porywa aż do łez; wówczas uczuję śmieszność mej próżności, i przyznam, że jestem w błędzie.

Kiedy twierdziłem zatem, że nie trzeba dzieciom mówić o religii, jeśli się pragnie aby ją miały kiedyś, i że są one niezdolne do pojęcia Boga, nawet na nasz sposób, zaczerpnąłem to zdanie z obserwacji a nie z doświadczenia; wiedziałem, że doświadczenie nie może być miarą dla innych. Znajdźcie więcej Janów-Jakobów w szóstym roku życia, i mówcie im o Bogu w siódmym, a ręczę, że nic wam nie grozi.

Każdy czuje, jak mniemam, iż mieć religję, dla dziecka, a nawet dla dorosłego, znaczy czcić tę, w której się ktoś urodził. Niekiedy, coś z niej odpada; rzadko coś przybywa; dogmatyczna wiara jest owocem wychowania. Poza tą powszechną zasadą, która wiązała mnie do wyznania ojców, miałem właściwą naszemu miastu odrazę do katolicyzmu, który przedstawiano nam w najczarniejszych kolorach. To uczucie posuwało się u mnie tak daleko, że zrazu, ilekroć zdarzyło mi się zajrzeć do kościoła, spotkać kapłana w komży, usłyszeć dzwonek procesji, ogarniał mnie dreszcz grozy i przestachu; uczucie, którego z czasem przestałem doświadczać w miastach, ale które nieraz odżywało we mnie w parafjach wiejskich, bardziej podobnych do miejsc w których go pierwotnie doznałem. To prawda, że osobliwy kontrast do tego wrażenia stanowiło wspomnienie pieśzcot i czułości, z jaką księża z okolic Ge-

newy chętnie odnoszą się do tamecznych dzieci. Równocześnie z uczuciem strachu, które budził we mnie dzwonek kapłana z wiatykiem, dzwon wzywający na mszę i nieszpory, przypominało mi się jakieś śniadanko, podwieczorek, świeże maselko, owoce, nabiał. Obiadek księdza de Pontverre wycisnął się jeszcze głębszem wrażeniem. Dlatego łatwo uległem pomieszanemu pojęć na tym punkcie. Patrząc na papizm jedynie pod kątem zabawy i łakoci, oswoilem się bez trudu z myślą o tem wyznaniu; ale przyjęcie go solenne przedstawiało mi się jedynie mglisto i w nieokreślonym oddaleniu. I oto przyszła chwila, w której niepodobna było się cofnąć: ujrzałem, z najwyższem przerażeniem, zobowiązanie które przyjąłem i jego nieuniknione skutki. Przyszli neofici, których widziałem wkoło siebie, nie bardzo byli potemu, aby swoim przykładem umocnić mą odwagę: nie mogłem utaić przed sobą, że święte dzieło, którego miałem dokonać, było, w gruncie, postępkami szubrawca. Mimo swej młodości, uczulem, że, bez względu na to która religja jest prawdziwa, miałem sprzedać moją, i że, choćby nawet wybór mój był dobry, miałem, w głębi serca, skłamać Duchowi Świętemu i zasłużyć na wzgardę ludzką. Im więcej o tem myślałem, tem więcej byłem oburzony na siebie, a zarazem jęczałem nad losem, który mnie do tego doprowadził, jakgdyby ten los nie był mem własnem dziełem! Niekiedy refleksje te stawały się tak silne, iż, gdybym na chwilę znalazł drzwi otwarte, byłbym się z pewnością wymknął; ale nie miałem sposobności a i samo postanowienie również nie utrzymało się w tej sile.

Zbyt wiele zwalczało je tajemnych pragnień, aby go nie miały zwyciężyć. Zresztą, upór w postanowieniu nie wracania do Genewy, wstyd, trudność nawet przebycia gór z powrotem, obawa znalezienia się zdala od kraju bez przyjaciół, bez środków, wszystko skłaniało mnie ku temu, aby wyrzuty sumienia uważać za spóźnione żale. Tem ciężej wyrzucałem sobie to co uczynilem, aby usprawiedliwić to co miałem uczynić. Powiększając ciężar błędów przeszłości, patrzałem na przyszłość jako na ich nieunikniony skutek. Nie

powiadałem sobie: Nic się jeszcze nie stało; możesz zostać niewinny, jeśli zechcesz; ale mówiłem: Cierp za zbrodnię, której się dopuściłeś i która zmusza cię iść po tej drodze aż do końca.

W istocie, jakiejż siły trzeba było w moim wieku, aby odwołać wszystko com do tej chwili przyrzekł albo czegom pozwolił się spodziewać; aby zerwać łańcuchy, które sam sobie nałożyłem i oświadczyć nieustraszenie, że chcę zostać przy wierze ojców; aby to uczynić, powiadam, narażając się na wszystkie skutki! Ten hart ducha nie był na mój wiek. Rzeczy zaszły zbyt daleko aby się zgodzono na taką zmianę frontu; im większy byłby mój opór, tem bardziej, w ten lub w inny sposób, uważano by za obowiązek go przelamać.

Sofizmat, który mnie zgubił, wspólny jest wielu ludziom, którzy skarżą się że brak im siły, wówczas gdy już zapóźno jest aby jej użyć. Życ cnotliwie, przychodzi nam z trudnością jedynie z naszej winy; gdybyśmy chcieli być zawsze rozsądni, rzadko potrzebowalibyśmy być bohaterami cnoty. Ale idziemy bez oporu za naszymi skłonnościami, wówczas gdy łatwo jeszcze byłoby je pokonać; ustępujemy lekkim pokusom, lekceważąc niebezpieczeństwo. Tak, ani widząc kiedy, popadamy w karkołomne sytuacje, których mogliśmy się z łatwością ustrzec, ale z których nie możemy się wydobyć bez heroicznego wysiłku: wówczas, przerażeni i bezsilni, osuwamy się w przepaść, mówiąc Bogu: „Czemuś mnie uczynił tak słabym?“ Ale, wbrew sofizmatom, on odpowiada naszemu sumieniu: „Uczyniłem cię zbyt słabym aby się wydobyć z przepaści, ponieważ uczyniłem cię dość mocnym aby się w nią nie stoczyć“.

Nie postanowiłem wyraźnie przejść na katolicyzm: ale, widząc termin jeszcze w oddaleniu, oswajałem się z wolna z tą myślą, żywiąc zarazem nadzieję, iż zajdzie jakiś niespodziany wypadek, który mnie wybawi. Aby zyskać na czasie, postanowiłem rozwinąć najenergiczniejszą obronę. Wkrótce, próżność moja sprawiła, że nie potrzebowalem pamiętać o celach mego zamiaru; z chwilą gdy spotrzeblem że udaje mi się niekiedy wprawić w kłopot moich in-

strukturów, nie potrzebowalem innej podniety aby się starać ich pognębić. Wkladałem w to nawet zapal dość komiczny: gdy oni, ze swego urzędu, nawracali mnie, ja sililem się nawrócić ich samych! Wierzyłem naiwnie, że wystarczy ich przekonać, aby ich skłonić do przejścia na protestantyzm.

Bądź co bądź, nie znaleźli we mnie ofiary tak łatwej jak się spodziewali, ani pod względem światła, ani pod względem woli. Protestanci są zazwyczaj bardziej wykształceni religijnie niż katolicy. To całkiem naturalne: zasady jednych wymagają ciągłego roztrząsania, zasady drugich — poddania się. Katolik musi przyjąć decyzję, jaką mu nałożą, protestant uczy się sam stanowić o sobie. To było im wiadomo: ale nie oczekiwano po chłopcu mego stanu i wieku, aby wytrawnym ludziom mógł nastęrczyć wielkie trudności. Zresztą, nie odbyłem jeszcze pierwszej Komunii, ani nie odebrałem nauk z nią złączonych: to wiedziano również, ale nie wiedziano, iż, w zamian, przeszedłem staranną naukę u pastora Lambercier i, co więcej, zgromadziłem zapasik wiadomości bardzo niedogodny dla tych panów, mianowicie z historii Kościoła i Cesarstwa, które posiadałem prawie na pamięć w domu ojca i które, mimo iż później zapomniane, odżywały mi w pamięci, w miarę jak rozgrzewałem się dysputą.

Pewien stary ksiądz, nieduży ale dość czcigodnej postaci, miał, wspólnie dla nas, pierwszą rekolekcję. Rekolekcja ta była dla moich towarzyszy raczej katechizacją niż dysputą; księżyna więcej miał roboty z tem aby ich pouczać, niż aby usuwać wątpliwości i zarzuty. Inaczej ze mną. Kiedy przyszła kolej na mnie, wychwytywałem go na wszystkim: nie oszczędziłem ani jednego zarzutu, ani jednej pułapki. To przedłużało konferencję i czyniło ją dla obecnych bardzo nudną. Staruszek gadał dużo, rozpałał się, zapęrlał; wkońcu wykręcał się z kłopotu, mówiąc że nie umie dobrze po francusku. Nazajutrz, z obawy by moje niedyskretne zarzuty nie zgorszyły towarzyszy, umieszczono mnie oddzielnie w innym pokoju z drugim księdzem, młodszym, tęgim mówcą, to znaczy

umiejącym snuć nieskończenie długie okresy i delektującym się sobą. Mimo to, nie dałem się ujarzmić jego imponującej minie; czując, iż, ostatecznie, jestem w swoim prawie, zacząłem mu odpowiadać jak umiałem i wylapywać go tędy i owędy. Mniemał, iż zdławi mnie św. Augustynem, św. Grzegorzem i innymi ojcami; ale wnet spostrzegł ku swemu zdumieniu, że obracam się w tych wszystkich ojcach niemal tak dobrze jak on: to nie znaczy, abym ich czytał kiedy, i on także może nie; ale zachowałem w pamięci wiele ustępów z książki *Le Sueura*; owóz ilekroć on mi zacytował jakiegoś zdanie, natychmiast, nie wdając się w dysputę nad cytatem, odpowiadałem innym z tego samego ojca, wprowadzając go nieraz w znaczny kłopot. Mimo to, ksiądz bił mnie wkońcu z dwóch przyczyn: jedna, że był silniejszy i że, czując się niejako na jego łasce, rozumiałem dobrze, mimo mej młodości, że nie trzeba go nadto przypierać do muru; widziałem bowiem, że księżyna wcale nie zasmakował w mojej erudycji, ani we mnie. Druga racja, to że mój adwersarz miał studja, a ja nie. To sprawiło, iż rozwijał w swej argumentacji metodę, której nie mogłem wydołać. Zresztą, ilekroć go zaskoczyłem nieprzewidzianym zarzutem, odkładał go do nazajutrz, powiadając że odbiegam od tematu. Odrzucał niekiedy wszystkie moje cytaty, utrzymując że są fałszywe; ofiarowując się przynieść książki, wyzywał mnie, abym je w nich znalazł. Czuł, że nie ponosi wielkiego ryzyka i że, przy całej pożyczanej erudycji, byłem zbyt mało obyty w książkach i zbyt słabym łacinnikiem, aby znaleźć jakiś ustęp w grubym tomie, choćbym nawet pewien był, że się tam znajduje. Podejrzewam nawet, że uciekał się sam do niesumienności, o którą oskarżał pastorów i że zdarzało mu się podrobić jakiś ustęp, aby się wykręcić od kłopotliwego argumentu.

Tak schodziły dni na tych pasowaniach, dysputach, mamrotaniu pacierzy i wałkoństwie. Wśród tego zdarzyła mi się mała przygoda, dość szpetna, która mogła mieć dla mnie przykre następstwa.

Niema tak brudnej duszy i tak barbarzyńskiego serca, iżby nie były zdolne do jakiegoś przywiązania. Jeden z dwóch bandytów,

którzy podawali się za Maurów, spodobał sobie we mnie. Szukał chętnie mego towarzystwa, gwarzył ze mną w swym djabełskim szwargocie, świadczył mi drobne usługi, podsuwał mi niekiedy swój talerz przy stole, a zwłaszcza obdarzał mnie częstemi pocałunkami, z żarliwością bardzo dla mnie kłopotliwą. Twarz ta koloru piernika ozdobiona wielką szramą oraz spojrzenie to, rozplamione, zdawałoby się, raczej wściekłością niż uczuciem, budziły we mnie naturalną odrazę; mimo to znosiłem te pocałunki, powiadając sobie: „Ten biedak powziął snąc dla mnie szczerą przyjaźń; nie godzi się go odtrącać“. Stopniowo, przybierał coraz swobodniejsze obyczaje i mówił rzeczy tak szczególne, iż przypuszczałem że ma źle w głowie. Jednego dnia, wieczór, chciał położyć się ze mną; sprzeciwiłem się, mówiąc że łóżko jest za małe. Wówczas zaczął nalegać, abym ja przyszedł do niego; odmówiłem również, lądaczyna bowiem był tak niechlujny i tak cuchnął tytoniem, który źuł ustawicznie, że przyprowadził mnie o mdłości.

Nazajutrz, dość wczesnym rankiem, znaleźliśmy się sami w sali; zaczął znowu swoje pieszczoty, ale z tak gwałtowną mimiką, że można się było przestraszyć. Wkońcu, chciał przejść do najbardziej niewłaściwych swobód i zmusić mnie, kierując mą ręką, abym go naśladował. Wyrwałem się wydając krzyk i uskakując w tył, nie zdradzając wszelako oburzenia ani gniewu, gdyż nie miałem najmniejszego pojęcia o co mu chodzi: ale z taką energją dałem wyraz memu wstrętowi i zdumieniu, że mnie poniechał. Naraz, gdy on się dalej szamotał sam ze sobą, ujrzałem, jak wyleciało ku kominkowi i spadło na ziemię coś białawego i lepkiego. W gardle mi się ścisnęło ze wstrętu. Rzuciłem się na balkon, tak wzruszony, pomieszany, przerażony nawet, jak jeszcze nigdy w życiu, bliski prostu omdlenia.

Nie mogłem zrozumieć co to było, co się dzieje z tym nieszczęśnikiem: mniemałem, iż cierpi na wielką chorobę, albo na inne jeszcze straszliwsze cierpienie; i doprawdy, dla kogoś patrzącego chłodno, nie mogę sobie wyobrazić nic wstrętniejszego niż te plu-

gawe zabiegi i tę ohydłą twarz, rozpaloną ogniem najbrutalniejszej żądy. Nie widziałem innego mężczyzny w podobnym stanie; ale, jeżeli wszyscy tak wyglądamy wobec kobiet, muszą mieć chyba wzrok bardzo urzeczony, aby nie nabrać do nas wstrętu.

Nie miałem nic pilniejszego, niż opowiedzieć wszystkim co mi się trafiło. Stara gospodyni kazała mi cicho siedzieć, ale widziałem że bardzo była przejęta tą historją i słyszałem jak mruczała przez zęby: *Can maledet! brutta bestia!* Ponieważ nie rozumiałem czemu miałbym milczeć, robiłem dalej swoje mimo zakazu i paplałem tak, że, nazajutrz rano, jeden z zarządców wypalił mi dość ostrą reprimendę, wyrzucając, że narazam honor świętego domu i że robię zbyt wiele hałasu dla drobnostki.

Rozgadał się na ten temat, tłumacząc mi wiele rzeczy których nie wiedziałem, ale co do których przypuszczał iż musiały mi być wiadome: był przekonany, iż bronilem się wiedząc czego tamten odemnie żąda, ale nie chcąc się zgodzić. Oświadczył mi poważnie, że jest to uczynek zakazany jak wszelka rozpusta, ale którego intencja nie jest pozatem obrażająca dla osoby i że niema powodu tak się gniewać o to iż się w kimś wzbudziło sympatję. Powiedział mi bez ogródek, iż on sam, w młodości, dostąpił tego samego zaszczytu i że, zaskoczony w taki sposób iż nie mógł stawić oporu, nie znalazł w tem wszelako nic strasznego. Posunął swój bezwstyd aż do użycia właściwych terminów w ich całej nagości; i, wyobrażając sobie, iż przyczyną mego oporu była obawa bólu, upewnił iż ta obawa jest płonna i że niema powodu do najmniejszej trwogi.

Słuchałem tego bezecnika ze zdumieniem tem większem, iż nie przemawiał we własnym interesie; pouczał mnie jakoby tylko dla mego dobra. Nauki te wydawały mu się tak naturalne, iż, wygłaszając je, nawet się nie troszczył o poufność; świadkiem naszej rozmowy był jakiś ksiądz, który nie zdawał się ani trochę zgorszony. Owa swoboda mówienia o tem takie na mnie uczyniła wrażenie, że zacząłem mniemać, iż jest to zapewne obyczaj powszechnie przyjęty, z którym jedynie nie miałem sposobności zapoznać się dotąd.

To było przyczyną, iż wysłuchałem bez gniewu, choć nie bez odrazy. Obraz tego co mi się zdarzyło, a już szczególnie tego com widział, wycisnął mi się tak mocno w pamięci, iż mdłości mnie zbierały na samo wspomnienie. Mimowoli, odraza do samej rzeczy rozciągnęła się i na jej obrońcę; mimo że starałem się panować nad sobą, musiał widzieć jak złe wrażenie wywarły jego nauki. Obrzucił mnie mało przychylnem spojrzeniem i odtąd nie zaniechał niczego, aby mi pobyt w przytulisku uczynić nieprzyjemnym. Dopiął tak dobrze celu, iż, widząc jeden tylko sposób wydobycia się stamtąd, chwyciłem się go z tą samą energią, z jaką dotychczas starałem się go oddalić.

Ta przygoda ubezpieczyła mnie na przyszłość od podejrzanych przyjaźni; sam widok takich ludzi budził we mnie — przez wspomnienie twarzy i ruchów ohydneho Maura — taki wstręt, iż niepodobna mi było go ukryć. Przeciwnie, kobiety wiele zyskały w mych oczach na porównaniu: zdawało mi się, że najtkliwsze moje uczucia, najpoddane hołdy ledwie mogą być zadośćuczynieniem za zniewagi jakie cierpią od mojej płci, a najszpetniejsza poczwarą stawała się w mych oczach cudowną pięknnością przez pamięć rzekomego Afrykanina.

Co się tyczy jego, nie wiem co mu tam powiedziano; nie uważałem wszakże, aby, z wyjątkiem pani Lorenzy, ktokolwiek patrzył nań gorszem okiem. Bądźco bądź, nie zaczął mnie od tej pory, ani nie odzywał się do mnie. W tydzień później, przystąpił do chrztu, z wielką ceremonją, ubrany białą od stóp aż do głowy, dla wyobrażenia białości odrodzonej duszy. Nazajutrz opuścił przytułek i nie spotkałem go już.

Moja kolej przyszła w miesiąc później; tyle czasu było trzeba, aby zapewnić kierownikom duchownym chlubę trudnego nawrócenia. Kazano mi kolejno przejść wszystkie dogmaty, aby święcić tryumfy nad mą świeżo zdobytą uległością.

Wreszcie, dostatecznie pouczony i dostatecznie, zdaniem mych nauczycieli, przejęty łaską, udałem się, wiedziony procesjonalnie,

do katedry Św. Jana, aby tam dopełnić uroczystego wyrzeczenia się i przyjąć dodatkowe obrzędy chrztu, mimo iż nie chrzczono mnie w istocie: ale, ponieważ są to mniejwięcej te same obrządki, korzysta się z tego, aby budzić wśród ludu pojęcie, że protestanci nie są chrześcijanami. Byłem przybrany w jakąś szatę szarego koloru z białymi wyłogami, przeznaczoną na takie okazje. Dwóch drabów niosło przedemną i za mną duże mosiężne tace, w które uderzali kluczem i gdzie każdy z obecnych składał jakąś jałmużnę, w miarę swej pobożności lub zainteresowania osobą nowonawróconego. Słowem, nie poniechano nic z całego katolickiego przepychu, aby uczynić uroczystość bardziej budującą dla publiczności a upokarzającą dla mnie. Brakło jedynie białej szaty, która byłaby mi się bardzo przydała, a której mi nie dano jak owemu Maurowi, zważywszy iż nie miałem zaszczytu być żydem.

Nie koniec na tem: trzeba było iść do urzędu Inkwizycji, by otrzymać rozgrzeszenie ze zbrodni herezji i wrócić na łono Kościoła z tą samą ceremonją, jakiej musiał się poddać Henryk IV przez swego ambasadora. Mina i obejście wielbnego ojca inkwizytora nie bardzo były potem aby rozprószyć tajemny strach jaki mnie ogarnął, gdym wchodził do tego domu. Po licznych pytaniach dotyczących mej wiary, stanu, rodziny, spytał nagle, czy matka moja jest potępiona. Zgroza, jakiej doznałem, powściągnęła pierwszy odruch oburzenia; zadowolilem się odpowiedzią, iż mam nadzieję, że nie, i że Bóg mocen był ją oświecić w ostatniej chwili. Mnich zamilkł, ale uczynił grymas, który nie wyrażał wcale aprobaty.

Po ceremonji, w chwili gdy spodziewałem się iż zaczną się urzeczywistniać moje błyszczące rojenia, wyprawiono mnie za drzwi, wsypawszy w rękę w drobnej monecie nieco więcej niż dwaście franków — owoc kwesty. Polecono mi żyć jak przystało dobremu chrześcijaninowi, być wiernym uzyskanej łasce; dodano życzenia pomyślności, po których drzwi się zamknęły i wszystko znikło.

Tak rozpadły się, w jednej chwili, wielkie nadzieje; z intere-

sownego postępu który popełniłem, zostało mi jedynie wspomnienie że byłem odstępca i dudkiem zarazem. Łatwo osądzić, jaki przewrót musiał nastąpić w mych pojęciach, kiedy, ze świetnych rojeń o wspaniałym losie, znalazłem się nagle w najzupełniejszej nędzy. Rano, rozmyślałem jeszcze nad wyborem pałacu w którym mam zamieszkać: wieczorem, ujrzałem perspektywę nocowania na ulicy. Pomyśli ktoś, że pierwszym mem uczuciem była rozpacz, tem okrutniejsza, iż, do wyrzutów sumienia, łączyła się dotkliwa świadomość. iż całe nieszczęście było mem własnem dziełem. Nic podobnego. Pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się spędzić w zamknięciu przeszło dwa miesiące: otóż, uczuciem jakiego doznałem była radość z odzyskanej swobody. Czulem się, po długiej niewoli, panem siebie i swoich uczynków; znalazłem się w dużem mieście pełnem dostatków, pełnem świątłych ludzi, którzy z pewnością pośpieszą przygarnąć mnie i oddać sprawiedliwość mym talentom, skoro tylko będą mieli sposobność je poznać. Ba, miałem zresztą czas: dwadzieścia franków, które czulem w kieszeni, zdawały mi się skarbem nie do wyczerpania. Mogłem rozrządzać niemi wedle ochoty, nie zdając nikomu sprawy. Pierwszy raz w życiu byłem panem takiego bogactwa. Daleki tedy od łez i rozpaczy, zmieniłem jedynie kierunek swych nadziei. Nigdy nie miał uczucia takiej wiary w siebie: miałem przeświadczenie, iż los mój jest zapewniony i dumny byłem iż zawdzięczam go jedynie sobie.

Pierwszą rzeczą, jaka mnie skusiła, było przebiec całe miasto. Zaspakajając naturalną ciekawość, dopełniałem zarazem aktu swobody. Poszedłem zobaczyć, jak zmieniają straż: muzyka wojskowa spodobała mi się bardzo. Włóczyłem się za procesjami: lubiłem słuchać nosowego falsetu księży. Poszedłem obejrzeć pałac królewski; zbliżałem się z obawą; ale widząc że inni wchodzą, poszedłem za ich przykładem; przepuszczono mnie. Może zawdzięczałem ten przywilej małemu zawiniątku, które miałem pod pachą. Jak bądź rzecz się miała, powziąłem wielkie mniemanie o sobie samym, znalazłszy się w pałacu; czulem się niemal jego mieszkańcem.

Wkońcu, nawałęsawszy się tam i sam, zmęczyłem się; uczulem głód; było gorąco: wstąpiłem do handlarki nabiału; dała mi sera, kwaśnego mleka; dodawszy do tego dwie kromki wybornego piemonckiego chleba, wyprawilem sobie, za pięć czy sześć soldów, jeden z najlepszych obiadków w życiu. Trzeba było starać się o nocleg. Ponieważ znałem już język piemoncki natyle aby się porozumieć, nie trudno mi to przyszło; byłem tak przezorny, iż obrałem kwarterę wedle sakiewki a nie wedle mego smaku. Wskazano mi przy ulicy Padewskiej żołnierkę, która, ze solda na noc, dawała przytułek służącym bez miejsca. Znalazłem wolny tapczan i zakwaterowałem się. Gospodyni była młoda i świeżo zamężna, mimo iż miała już kilkoro dzieci. Spaliśmy wszyscy w jednej izbie, matka, dzieci, lokatorowie: trwało tak przez cały czas, dopóki mieszkalem u niej. Zresztą, była to dobra kobieta, mocna w przekleństwach jak stangret, wiecznie rozmamlana i nieuczesa, ale łagodna i uczynna. Nabrała do mnie sympatji i nawet przyszła mi w niejednym z pomocą.

Strawiłem tak kilka dni, oddając się jedynie uczuciu swobody i ciekawości. Wałęsałem się po mieście i okolicy, zwiedzając wszystko co mi się zdało nowe i zajmujące; a cóż nie było nowe dla młodego chłopca świeżo wybiegłego z gniazda, który nigdy nie widział stolicy! Byłem zwłaszcza bardzo punktualnym dworakiem: regularnie, co rano, asystowałem mszy Króla Jegomości. Miało dla mnie pewien urok znajdować się w jednej kaplicy wraz z monarchą i jego świtą: ale główną pobudką raczej była namiętność do muzyki, już zaczynająca się objawiać, niż pompa dworska, której ceremonjał, powtarzający się i zawsze jednaki, nie jest w stanie zająć długo. Król Sardynji miał wówczas najlepszą kapelę w Europie: Somis, Desjardins, Bezuzzi, błyszczeli w niej naprzemian. Nie trzeba było i tyle, aby ściągnąć młodego chłopca, którego dźwięk najlichszego instrumentu, byle czysty, przejmował rozkoszą. Poza tem, wspańiałość uderzająca me oczy budziła we mnie jedynie głupio-dziecinny i pozbawiony wszelkiej pożądlivości podziw. W całym tym bla-

sku dworskim zajmowało mnie jedynie to, czy nie było tam gdzie jakiej księżniczki, któraby warta była mego hołdu i z którą mógłbym nawiązać intrygę miłosną.

Tymczasem o włos że nie nawiązałem innej miłości, o wiele mniej świętej, ale która, gdyby doszła do skutku, dałaby mi sto kroć rozkoszniejsze słodycze.

Jakkolwiek prowadziłem życie bardzo oszczędne, sakiwka wyczerpała się nieznacznie. Oszczędność moja wynikała zresztą nityle z przeczności, ile z prostoty upodobań, której nawet dzisiaj obycie ze światowym wykwintem nie zatarło we mnie. Nie znałem i nie znam do dziś lepszej uczy niż prosty, sielski posiłek. Nabiałem, jajkami, trochę sałaty, sera, z dodatkiem świeżego chleba i jakiegotakiego wina, można być pewnym że się mnie najlepiej uraczy; dobry apetyt dopełni reszty, o ile marszałek dworu i lokaje sterczący wkoło nie odbiorą mi go swym natrętnym widokiem. W owym czasie, wydając sześć albo siedem soldów, jadałem o wiele lepiej, niż później za cenę sześciu albo siedmiu franków. Byłem tedy wstrzeźliwy z braku pokus; źle zresztą mówię *wstrzeźliwy*, wkładałem w to bowiem całą pełnię smakoszostwa. Parę gruszek, *giunca*, kromka chleba i kilka szklaneczek taniego wina, czyniły mnie najszczęśliwszym z gastronomów. Ale, i przy tym trybie, owych dwadzieścia franków musiało kiedyś, ostatecznie, mieć swój koniec. Przekonywałem się o tem z każdym dniem wyraźniej; mimo nieopatrności mego wieku, przyszłość przejmowała mnie grozą. Ze wszystkich zamków na łodzi, została mi tylko nadzieja, iż uda mi się znaleźć zatrudnienie, z któregobym mógł żyć; a i to nie było łatwe. Przypomniałem sobie dawne rzemiosło; ale nie umiałem go natyle, aby znaleźć pracę w jakim warsztacie; a i warsztatów tych niedużo było w Turynie. Postanowiłem tedy, w oczekiwaniu czego lepszego, chodzić od sklepu do sklepu, ofiarowując się z wyrzeczem liter albo herbów na naczyniu stołowym, w nadziei iż umiarkowana cena i gotowość do usług zności klientelę. Pomyśl nie okazał się zbyt szczęśliwy. Prawie wszędzie spotkałem się z od-

mową: a robota jaką uzyskałem przedstawiała tak niewiele, że ledwo parę posiłków zdobyłem tą drogą. Jednego dnia, przechodząc dość wcześnie przez *Contra nova*, ujrzałem, przez szyby sklepowe, młodą kupczynię tak pełną uroku i tak powabnej postaci, iż, mimo mej nieśmiałości wobec dam, nie zawahałem się wejść i ofiarować me skromne usługi. Nie odprawiła mnie, kazała usiąść, opowiedzieć swoje dzieje, uzalila się nademną, dodała otuchy, upewniając iż dobrzy chrześcijanie mnie nie opuszczą; następnie, posławszy tymczasem do sąsiedniego złotnika po narzędzia które mi były potrzebne, poszła do kuchni i sama przyniosła śniadanie. Początek wydał mi się dobrą zapowiedzią: dalszy ciąg nie zadał jej kłamu. Pani była widocznie rada z mej skromnej pracy, jeszcze więcej z mego szczeniostwa, skoro się trochę ośmieliłem; wydawała mi się bowiem tak świetna i strojna, iż, mimo łaskawego tonu, blask ten przejął mnie zrazu nieśmiałością. Ale przyjęcie pełne dobroci, współczujący głos, łagodne i pieszczotliwe obejście wróciły mi rychło swobodę. Widziałem, że sprawiam korzystne wrażenie i to dodawało mi skrzydeł. Mimo to, ona, jakkolwiek Włoszka i zbyt ładna aby nie być trochę zalotną, była tak skromna, a ja tak trwożliwy, że mała była nadzieja rychłego porozumienia. Nie zostawiono nam zresztą czasu... Z tem większym urokiem wspominam krótkie chwile, które spędziłem przy niej; mogę rzec, iż wówczas poznałem w ich pączku najśłodsze i najczystsze zarazem rozkosze miłości.

Była to bardzo fertyczna brunetka; wrodzona dobroć wszelako malująca się na twarzy łagodziła jej żywość odcieniem słodczy. Nazywała się pani Basile. Mąż, starszy od niej i dość zazdrosny, zostawiał ją, w czasie swych podróży, pod strażą pomocnika. Był to osobnik zbyt skąpo obdarzony od natury aby mógł być niebezpieczny; nie był i on wprawdzie wolny od pretensji, ale objawiał je jedynie złym humorem. Zdołałem odrazu wzbudzić jego antypatję, mimo iż lubilem przysłuchiwać się jak grał na flecie, którym władał dosyć dobrze. Cerber ten mruczał zawsze, ilekroć widział mnie wchodzącego do pokoju pani: traktował mnie ze wzgardą,

którą ona odplacała mu z nawiązką. Zdawała się czerpać w tem zabawę, aby, dla jego udręki, darzyć mnie niewinnemi pieszczotami w jego obecności, który to rodzaj zemsty, bardzo zresztą przypadający mi do smaku, byłby mi jeszcze o wiele miłszy sam na sam. Ale pani nie posuwała go aż tak daleko, a przynajmniej nie w taki sam sposób. Czy że znajdowała mnie zbyt młodym, czy nie umiała czynić pierwszych kroków, czy naprawdę chciała zostać bez skazy, dość, iż wówczas zachowywała się z miarą, która nie była odpychająca, ale która onieśmielala mnie sam nie wiem czemu. Mimo iż nie żywiłem dla niej owej głębokiej i tkliwej czci, jaką miałem dla pani de Warens, czułem wobec niej więcej obawy a mniej poufałości. Byłem zakłopotany, drżący; nie śmiałem na nią patrzeć, nie śmiałem oddychać; mimo to, rozłąki z nią lękałem się bardziej niż śmierci. Ukradkiem pożerałem oczyma deseń jej sukni, koniec ładnej nóżki, kawałek białego i jędrnego ramienia, który błyszczał między rękawkiem a rękawiczką, rąbek biustu wychylający się z pod chusteczki. W miarę jak zapuszczałem wzrok coraz mniej dyskretnie, oczy zachodziły mi mgłą, pierś ścisnęła się, brakowało mi oddechu; zdolny byłem wydawać jedynie westchnienia, bardzo wymowne w ciszy jaka często zapadała między nami. Szczęściem, pani Basile, zajęta swą robotą, nie spostrzegła tego, o ile mi się zdawało. Mimo to, widziałem niekiedy, iż, jakby przez sympatyczne odczucie, chusteczka kryjąca jej piersi faluje szybszem tempem. Ten niebezpieczny widok do reszty pozbawiał mnie przytomności; ale, kiedy już byłem bliski poddania się swym wzruszeniom, zwracała się do mnie najspokojniej z jakimś słówkiem, które wracało mnie natychmiast do przytomności.

Kilka razy spędziłem z nią w ten sposób całe godziny, przy czem najlżejsze słowo, gest, nawet bardziej wymowne spojrzenie nie zaznaczyło najmniejszego porozumienia między nami. Ten stan, pełen udręki, był jednakże mą rozkoszą; w niewinności serca, nie bardzo umiałem sobie wytłumaczyć przyczyny mych cierpień. Zda się, iż te niewinne sam na sam i jej nie były przykre; przynaj-

mniej dostarczała do nich sposobności wcale często: gorliwość dość jałowa, zważywszy sposób, w jaki korzystała z tych chwil sama i mnie pozwalała z nich korzystać!

Jednego dnia, pani Basile, znudzona głupimi docinkami Cibera, schroniła się do swego pokoju. Pośpieszyłem się jak mogłem, aby corychlej dokończyć roboty i udałem się za nią. Drzwi były uchylone, wszedłem niepostrzeżony. Haftowała przy oknie, z twarzą odwróconą od drzwi. Nie mogła widzieć jak wchodzę, nawet i słyszeć, z przyczyny ulicznego turkotu. Ubierała się zawsze starannie; tego dnia, strój jej trącił zalotnością. Siedziała w pozycji pełnej wdzięku; głowa, pochylona nieco, odsłaniała biały karczek, włosy podczesane zręcznie, upięte kwiatami. Cała postać tchnęła czarem, którym miałem czas napawać się dosyć i który wyprowadził mnie z równowagi. Rzuciłem się na kolana tuż u drzwi, wyciągając namiętnym ruchem ręce, bez myśli aby mnie mogła widzieć: ale lustro nad kominkiem zdradziło mnie. Nie wiem, jakie wrażenie wywarł na niej ten wybuch; nie spojrzała, nie przemówiła; ale, nawpół odwracając głowę, nieznacznym ruchem wskazała mi podnózek u swych stóp. Zadrzeć, wydać okrzyk, rzucić się ku wskazanemu miejscu, było rzeczą jednej chwili: ale co trudniejsze do uwierzenia, to że, w tym stanie, nie śmiałem nic przedsięwziąć ponadto, nie odważyłem się wyrzec jednego słowa, podnieść oczu. Trwałem nieruchomo, nie mając nawet tyle odwagi, aby w tak niewygodnej postawie oprzeć się przez chwilę o jej kolana. Byłem niemy, sparaliżowany, daleki wszakże od spokoju; wszystko zdradzało we mnie wzruszenie, radość, wdzięczność, żarliwe pragnienia ledwie świadome swego przedmiotu i powściągane obawą jej gniewu.

Ona wydała mi się również niespokojna i strwożona. Zmieszana mą bliskością, przestraszona tem że mnie ściągnęła ku sobie i zaczynając sobie zdawać sprawę z doniosłości owego znaku który z pewnością wyrwał się jej bez zastanowienia, nie czyniła nic aby mnie przygarnąć ani też odtrącić. Nie odejmując oczu od robótki,

starala się zachować jakgdyby nie widziała mnie u swoich nóg: ale, mimo całej mej naiwności, musiałem spostrzec że podziela me za-kłopotanie, może moje pragnienia, i że wstrzymuje ją jakiś wstyd podobny mojemu: co wszystko nie dodawało mi wszelako siły do wyzwolenia nas z tego kłopotliwego stanu. Oczekując, z tytułu kilku lat starszeństwa, pierwszych kroków z jej strony, powiadałem sobie, iż skoro ich nie czyni, nie życzy sobie widocznie abym się dalej posunął. Dziś jeszcze myślę, iż miałem słusność: była ona z pewnością zbyt sprytna, aby nie widzieć, że nowicjusz taki jak ja potrzebował nietylko zachęty ale i nauki.

Nie wiem, jakby się skończyła ta scena tak żywa choć niema, ani jak długo byłbym przetrwał w tej równie śmiesznej jak rozkosznej pozycji, gdyby nam nie przerwano. W chwili mych największych wzruszeń, usłyszałem, iż otwierają się drzwi od kuchni. Pani Basile, przerażona, rzekła zcicha, podkreślając gestem żywość słów: „Wstań, idzie Rozyna“. Wstając śpiesznie, chwyciłem rękę, którą zostawiła w moich, i wycisnąłem na niej dwa palące pocałunki: przy drugim, uczulem, iż ta urocza ręka przycisnęła się nieco do mych warg. W życiu nie zaznałem tak słodkiego momentu: ale raz utracona sposobność nie powtórzyła się i nasze nieśmiałe mi-łostki nie posunęły się dalej.

Może dlatego właśnie obraz tej lubej istoty odcisnął się w mem sercu w tak czarujących rysach i wypiękniał mi jeszcze, w miarę jak lepiej poznawałem świat i kobiety. Gdyby miała bodaj trochę doświadczenia, byłaby się inaczej zabrała do dzieła, aby ośmielić młodego chłopca. Ale serce jej, mimo iż słabe, było z gruntu uczciwe; ustępowała, wbrew własnej woli, skłonności która ją ciągnęła: była to, według wszelkiego prawdopodobieństwa, pierwsza jej niewierność. Kto wie, może więcej miałbym trudu z przewyciężeniem jej wstydlivości niżeli mojej własnej. Nie doszedłszy do tego momentu, zakosztowałem wszelako przy niej niewypowiedzianych słodyczy. Nic z tego czegom zaznał w objęciach kobiet, nie jest warte owych dwóch minut, które spędziłem u jej nóg, nie śmiejąc

nawet dotknąć jej sukni. Nie, niema rozkoszy równych tym, jakie może dać uczciwa a ukochana przez nas kobieta. Jedno skinienie palcem, lekkie przyciśnięcie ręki do ust, oto jedyne dowody wzajemności, jakie otrzymałem od pani Basile, ale gdy o tem myślę, wspomnienie owych drobnych łask przejmuję mnie jeszcze wzruszeniem.

Przez dwa następne dni, próżno czyhałem na nowe samnasam. Niepodobieństwem mi było znaleźć sposobną chwilę, z jej strony zaś nie spostrzegłem współdziałania w tym względzie. Obejście pani Basile było nawet, nie powiem chłodniejsze, ale powściągliwsze niż zazwyczaj: zdaje mi się że unikała mych spojrzeń, z obawy iż nie umiałaby dosyć panować nad swemi. Przeklęty strażnik nieznośniejszy był niż kiedykolwiek: stał się wprost drwiący, uszczypliwy; powtarzał mi, że będę miał w życiu powodzenie u kobiet. Drżałem z obawy, czy nie zdradziłem się jaką nieostrożnością: uważając się już poniekąd za współnika grzechu mej ukochanej, chciałem największą tajemnicą osłonić wzajemną skłonność, która, jak dotąd, tak bardzo tego nie wymagała! Stałem się tak ostrożny i oględny w szukaniu sposobności, iż, wkońcu, nie znalazłem ich wcale.

Oto jeszcze jedno romantyczne szaleństwo, z którego nigdy nie mogłem się uleczyć i które, połączone z wrodzoną nieśmiałością, w znacznym stopniu zadalo kłam wróżbie sklepikarza. Kochałem zbyt szczerze, zbyt doskonale, śmiem powiedzieć, aby móc łatwo dostąpić szczęścia. Nigdy może nikt nie żywił namiętności bardziej żywych i czystych zarazem; nigdy miłość nie była tkliwsza, szczerza, bezinteresowniejsza. Bylbym tysiąc razy poświęcił własne szczęście dla szczęścia osoby którą kochałem. Dobra sława jej była mi droższa od własnego życia; nigdy, za wszystkie słodczyce posiadania, nie chciałbym jej narazić, bodaj na chwilę, na niebezpieczeństwo. To sprawiało, iż wkładałem tyle starań, tyle tajemnicy, tyle ostrożności w swoje zabiegi, iż nigdy żaden z nich nie mógł doprowadzić

do skutku. Słabe moje rezultaty z kobietami wynikały zawsze z tego, iż nadto je kochałem.

Wracając do Cerbera grającego na flecie, muszę zaznaczyć, iż odnośnienie się jego do mnie uległo naraz korzystnej zmianie, co było zapewne wynikiem powziętego już zdradzieckiego planu. Od pierwszego dnia gdy zdołałem wzbudzić w pani Basile sympatję, pomyślała o tem aby mnie w jakiś sposób zatrudnić w sklepie. Byłem dość mocny w arytmetyce; zaproponowała mi tedy, aby mnie nauczył prowadzić książki: ale gbur bardzo niechętnie przyjął propozycję, lękając się może abym go nie wyparował z miejsca. Tak więc, po odłożeniu rylca, całą moją pracą było przepisywanie jakichś rachunków, porządkowanie ksiąg i czasem tłumaczenie paru listów z włoskiego na francuskie. Naraz, człowiek ten objawił dobre chęci których mu wprzód brakło, i oznajmił iż będzie mnie uczył podwójnej buchalterji. Mówił iż chce mnie przygotować na tyle, abym mógł ofiarować usługi panu Basile, skoro wróci. Było wszakże w jego tonie, w spojrzeniu, coś fałszywego, złośliwego, ironicznego, co nie budziło we mnie zaufania. Pani Basile, nie czekając odpowiedzi, rzekła sucho, że jestem mu wdzięczny za gotowość, co do niej jednak, ma nadzieję, iż znajdę w życiu godniejsze sobie stanowisko, i że byłaby szkoda, gdybym, przy mojej bystrości, miał zostać jedynie mizernym subjektem.

Powtarzała często, że chce ułatwić mi pewną znajomość, która może mi być użyteczna. Nasze nieme wyznania miały miejsce we czwartek: w niedzielę, pani Basile wydała obiad, na którym znalazłem się ja, i także pewien okazały zakonnik, Jakóbin, któremu mnie przedstawiła. Mnich odnosił się do mnie nader serdecznie, winszował nawrócenia, wtrącił też parę słów świadczących iż pani Basile opowiedziała mu szczegółowo moje dzieje. Następnie, klepiąc mnie po twarzy, powiedział abym był rozsądny, nie tracił otuchy, abym go odwiedził kiedy, a wówczas będziemy mogli swobodnie pogadać. Ze sposobu w jaki się doń wszyscy zwracali, domyśliłem się, że to musi być jakaś wpływowa osobistość, z ojcowskie-

go zaś tonu, z jakim odnosił się do pani Basile, że jest jej spowiednikiem. Przypominam sobie również, iż, mimo dobroduszej poufałości, obejście jego zdradzało wyraźnie szacunek a nawet cześć jaką miał dla swej penitentki: szczegól, który mniejsze wrażenie uczynił na mnie wówczas aniżeli dziś. Gdybym miał więcej doświadczenia, jakąż dumą i wzruszeniem przejęłoby mnie to, że zdołałem poruszyć serce młodej kobiety, posiadającej szacunek swego spowiednika!

Stół okazał się zbyt mały, jak na ilość gości; trzeba było dostawić stoliczek, przy którym zasiadłem w lubem sam na sam z panem subjektem. Nie czułem się jednak na tem wygnaniu bynajmniej upośledzony; co chwila wędrowały do stoliczka smaczne kąski, przeznaczone z pewnością nie pod adresem Cerbera. Dotąd, szło wszystko jak najlepiej: kobiety były wesole, mężczyźni dwornimi; pani Basile robiła honory z nieopisanym wdziękiem. W połowie obiadu, słyszemy nagle, iż lektyka zatrzymuje się pod bramą; ktoś idzie po schodach: to pan Basile. Widzę go, jakgdyby wszedł w tej chwili, w szkarłatnem ubraniu ze złotemi guzami, do którego koloru nabrałem od tego dnia odrazy. Był to rosły i przystojny mężczyzna, przedstawiający się nader okazale. Wszedł z hałasem i z taką miną jakgdyby kogoś zaškoczył, mimo iż byli tam sami jego przyjaciele. Żona rzuca mu się na szyję, ściska za ręce, obsypuje tysiącem pieśczot, które on przyjmuje chłodno i obojętnie. Pozdrowia całe towarzystwo, dają mu nakrycie, zasiada do jedzenia. Ledwie wymieniono pierwsze zdania, pan Basile rzucając okiem w stronę stolika, zapytuje surowo kto jest chłopak którego tam widzi. Pani Basile objaśnia go w najlepszej wierze. Pyta dalej, czy mieszkam w domu; dowiaduje się że nie. Czemu nie? mówi szorstko: skoro przesiaduje tu cały dzień, mógłby równie dobrze spędzać i noc. Tu zabrał głos zakonnik; oddawszy poważne i zasłużone pochwały pani Basile, przemówił kilka słów na mą korzyść; dodając, pod adresem męża, iż nietylko nie powinien ganić pobożnego miłosierdzia żony, ale raczej przyczynić się do niego

szczerem sercem, ile że w niczem nie naruszono granic uczciwości. Mąż odpowiedział z irytacją, ledwie zlagodzoną szacunkiem należnym duchownej osobie; ale i to wystarczyło, abym się domyślił, że miał co do mnie informacje i że pan subjekt przysłużył mi się w tej mierze.

Ledwie wstaliśmy od stołu, subjekt ów, wysłany przez pryncypała, przyszedł z tryumfem nakazać mi w jego imieniu, abym opuścił natychmiast dom i aby moja noga tu nie pozostała. Ze zlecenia wywiązał się w sposób najbardziej obelżywy i okrutny. Wyszedłem, nie mówiąc słowa, ale z rozpaczą w sercu, nietyłe iż trzeba mi porzucić tę uroczą kobietę, ile że muszę ją zostawić na pastwę męzowskiej brutalności. Miał słuszość, oczywiście, iż nie chciał aby go zdradziła: ale, mimo iż szlachetna i cnotliwa, była ona Włoszką, to znaczy czułą i mściwą; i sądzę iż źle czynił, uciekając się do takich środków, bardziej sposobnych aby nań ściągnąć nieszczęście, niż aby mu zapobiec.

Taki był rezultat mej pierwszej przygody. Próbowałem przejść parę razy ulicą, aby, bodaj zdaleka, ujrzeć tę, którą serce me opłakiwało bez przerwy; ale, zamiast niej, ujrzałem jedynie męża i czujnego subjekta, który, spostrzegłszy mnie, łokciem kupieckim uczynił w mą stronę gest bardziej wymowny niż pociągający. Widząc taką czujność, straciłem nadzieję i przestałem chodzić tamtędy. Bylbym chciał odwiedzić bodaj protektora, którego pani Basile usposobiła dla mnie tak życzliwie. Na nieszczęście, nie znałem jego nazwiska. Krążyłem wkoło klasztoru, próbując go spotkać, ale bez skutku. Wreszcie, inne wypadki zatarły we mnie uroczne wspomnienie pani Basile, a nawet wogóle kazały mi zapomnieć o istnieniu pięknych kobiet i ich powabów.

Bądźcobądź, hojność opiekunki podrestaurowała nieco mój tłumoczek, bardzo skromnie wszelako i z rozważą praktycznej kobiety, która bardziej troszczy się o schludność niż o strojność i która chciała zabezpieczyć mnie od braku, nie zaś dostarczyć sposobów błyszczenia. Ubranie, w którym przywędrowałem z Genewy, było

jeszcze wcale przyzwoite; uzupełniła je jedynie kapeluszem i trochę bielizny. Nie miałem mankietów; nie chciała mi ich dać, mimo że miałem na nie serdeczną ochotę. Poprzestała na tem, iż dostarczyła mi środków ubrania się schludnie; zresztą, nie trzeba mi było tego zalecać, dopóki czułem na sobie jej oczy.

W krótki czas po katastrofie, gospodyni moja, która, jak wspomniałem, nabrała do mnie sympatji, oznajmiła mi, iż może uda się znaleźć dla mnie miejsce i że pewna dystygowana dama pragnie mnie widzieć. Słyszając to, wyobraziłem sobie, iż, tym razem, wpłynąłem co się zowie na wody wielkiego świata; ta chimera bowiem prześladowała mnie nieustannie. Przygoda okazała się mniej wspaniała niż sobie wyobrażałem. Udałem się do tej pani ze służącym który o mnie wspominał. Zaczęła mnie wypytywać, badać: musiałem zrobić niezłe wrażenie, z miejsca bowiem wstąpiłem w jej służby, nietyle w charakterze faworyta co lokaja. Ubrano mnie w liberję, jaką nosili jej ludzie; jedyna różnica była ta, iż oni nosili pętelkę, mnie zaś jej nie dano: że zaś liberja nie miała galonów, wyglądała prawie na zwykłe ubranie. Oto nieoczekiwany kres, do którego przybiły wreszcie moje wielkie nadzieje.

Hrabina de Vercellis, do której się zgodziłem, była bezdzietną i wdową: mąż jej pochodził z Piemontu; co do niej, zawsze uważałem ją za Sabaudkę, nie przypuszczając aby Piemontka mogła mówić po francusku tak dobrze i tak czysto. Była to osoba w średnim wieku, szlachetnej postaci, wykształcona, zamilowana w literaturze francuskiej i wielka jej znawczyni. Pisywała dużo, zawsze po francusku. Listy jej miały styl i niemal wdzięk pani de Sevigné; niektóre mogły wprost przyprawić o pomyłkę. Głównem mem i chętnie spełnianem zatrudnieniem było pisywać pod dyktandem; hrabina bowiem, cierpiąc na bardzo dokuczliwego raka w piersi, nie mogła pisywać sama.

Pani de Vercellis miała nietylko bystry umysł, ale i silną, wzniosłą duszę. Patrzałem na jej ostatnią chorobę; patrzałem jak cierpiała i umierała bez najmniejszej słabości, bez walk z sobą, bez

sprzeniewierzenia się roli kobiety i bez świadomości ile w tem mieści się głębokiej *filozofji*: słowo, które nie było jeszcze w modzie i którego nie znała nawet w znaczeniu dzisiejszem. Ta siła charakteru dochodziła niekiedy do oschłości. Twarda i hartowna dla siebie, i drugimi nie rozczulała się zbyt; kiedy czyniła dobrze nieszczęśliwym, to raczej aby czynić to co jest dobre samo w sobie, niż przez prawdziwe współczucie. Doświadczyłem nieco tego chłodu przez trzy miesiące które spędziłem przy niej. Było naturalną rzeczą, aby nabrała sympatji dla młodego człowieka rokującego pewne nadzieje, którego miała nieustannie przed oczami, i aby, czując zbliżającą się śmierć, pomyślała, iż, straciwszy jej dom, będzie potrzebował oparcia i pomocy. Mimo to, czy nie uznała mnie godnym szczególnej uwagi, czy że ludzie którzy ją oblegali nie pozwolili jej pomyśleć o tem, nie uczyniła nic dla mnie.

Przypominam sobie dobrze, iż, zrazu, objawiła niejaką ciekawość bliższego poznania mnie. Zadawała mi niekiedy pytania: każała sobie pokazywać listy które pisywałem do pani de Warens, zachęcała mnie do wynurzeń. Ale śnać nie dobrą obrała drogę do mego wnętrza, nie otwierając nigdy własnego przedemną. Serce moje skłonne było do wylań, byle czuło iż odbiera je drugie serce. Suche i zimne pytania, nie odwzajemniające mych odpowiedzi żadną pochwałą ani naganą, nie mogły zbudzić we mnie ufności. Nie mogąc odgadnąć czy paplanina moja jest jej do smaku, czułem się wciąż niepewny; całą mą troską było nietyle wyrażenie mych myśli, ile nie wyrwanie się z niczem, coby mi mogło zaszkodzić. Zauważyłem później, że ten suchy sposób zadawania ludziom pytań, jakoby celem ich poznania, jest dosyć powszechny u kobiet, które wiele mniemają o swoim rozumie. Wyobrażają sobie, iż, nie zdradzając swoich myśli, łatwiej przenikną myśli drugiego: nie widzą, iż, tem samem, odejmują odwagę objawienia ich. Człowiek, którego się bierze na spytki, zaczyna, przez to samo, mieć się na ostrożności; jeśli mniema, iż, nie mając dłań istotnego zainteresowania, chce ktoś go jedynie wyciągnąć na słowa, wówczas albo kłamie, albo

milczy, albo ma się w dwójnasób na ostrożności i woli raczej ucho-
dzić za głupca, niż wziąć się na lep obojętnej ciekawości. Słowem,
źle się ten bierze do czytania w sercu drugich, kto zbyt oczywiście
ukrywa przed nimi własne.

Pani de Vercellis nie rzekła mi nigdy najmniejszego słowa,
któreby trąciło sympatją, współczuciem, życzliwością. Wypytywała
mnie chłodno: odpowiadałem oględnie. Odpowiedzi moje były tak
nieśmiałe, iż musiały się jej wydać służalcze i widocznie znudziła
się niemi. Pod koniec, nie pytała już o nic i odzywała się do mnie
jedynie w rzeczach usługi. Oceniała mnie nietyle wedle tego czem
byłem, ile wedle tego czem mnie uczyniła; nie widząc we mnie nic
oprócz lokaja, nie pozwoliła abym się jej okazał czem innym.

Pierwszy to raz wówczas zetknąłem się z ową złośliwą grą
ukrytych interesów, która miała mnie prześladować całe życie
i która wzbudziła we mnie bardzo naturalną odrazę do rzekomego
porządku, będącego ich źródłem. Pani de Vercellis nie miała dzie-
ci; spadkobiercą jej był siostrzeniec, hrabia de la Roque, który
nadszkakiwał jej pilnie. Poza tem, wpływowski domownicy, widząc że
dni ich pani zbliżają się ku końcowi, nie zapominali o sobie: tyle
osób cisnęło się koło niej, iż trudno było w istocie, aby miała czas
pomyśleć o mnie. Na czele domu stał niejaki Lorenzi, obrotny
człowiek, którego żona, jeszcze zręczniejsza od niego, tak umiała
się wcisnąć w łaski pani, że raczej była na stopie przyjaciółki, ni-
żeli płatnej sługi. Naraiła jej za pokojową swoją siostrzenicę, pan-
nę Pontal, sprytną osobkę, która przybierała tonę damy do towa-
rzystwa. We dwie, opanowały tak skutecznie swą panią, że wi-
działa jedynie przez ich oczy i działała jedynie przez ich ręce. Nie
miałem szczęścia przypaść do serca tym trojgu; słuchałem ich, ale
się im nie wysługiwałem: nie uważałem za właściwe, abym, poza
obsługą wspólnej pani, miał jeszcze być lokajem jej lokajów. By-
łem zresztą dla nich figurą raczej niepokojącą. Widzieli dobrze, że
nie jestem tu na swoim miejscu; lękali się, iż pani może to rów-
nież spostrzec, i że to co uczyni aby mi pomóc do odzyskania

właściwszego stanowiska, może zmniejszyć ich udziały: tego rodzaju ludzie, w których chciwość tłumi poczucie sprawiedliwości, uważają każdy legat jako zrabowany z ich części. Podali sobie tedy ręce, aby mnie usuwać z jej oczu. Lubiała pisywać listy; w tym stanie było to dla niej rozrywką: odstręczali ją od tego i postarali się, aby lekarz wpłynął na nią w tym duchu tłumacząc iż to ją męczy. Pod pozorem że jestem niedość zręczny, użyli do posług koło pani dwóch drabów noszących zazwyczaj lektykę: słowem, zakręcili się tak dobrze, iż, kiedy przyszła pora testamentu, od tygodnia noga moja nie powstała w jej pokoju. Trzeba dodać, iż później bywałem tam tak jak dawniej; byłem nawet gorliwszy od innych, cierpienia bowiem biednej istoty rozdzierały mi serce; męstwo, z jakim cierpiała, czyniło mi ją czciogodną i drogą; wiele szczerych a przez nikogo nie widzianych łez wylałem w jej pokoju.

Straciliśmy ją wreszcie. Patrzałem na jej zgon. Życie jej było życiem niepospolitej i rozumnej kobiety; śmierć była śmiercią mędrca. Mogę rzec, iż pojednała mnie z religią katolicką przez tę pogodę duszy, z jaką wypełniła jej obowiązki, bez zaniedbania i bez afektacji. Umysł jej był z natury poważny. Pod koniec choroby, zdradzała jakiś odcień wesołości, zbyt równej aby mogła być sztuczną; była to jakby samoobrona jej rozumu przeciw oplakanemu stanowi. Spędziła w łóżku jedynie dwa ostatnie dni, do końca rozmawiając spokojnie. Wkońcu, przestawszy mówić, już w mękach agonji, p.....ła głośno. Brawo! rzekła, odwracając się; kto p....., jeszcze nie umarł. To były ostatnie słowa jakie wyrzekła.

Zapisała testamentem roczne zasługi całej niższej służbie; ale, ponieważ nie byłem jeszcze na liście, nie dostało mi się nic. Mimo to, hrabia de la Roque kazał mi dać trzydzieści funtów i zostawić nowe ubranie które miałem na grzbiecie, a które pan Lorenzi chciał ze mnie ściągnąć. Przyrzekł nawet zająć się wyszukaniem mi miejsca i pozwolił zgłosić się do siebie. Poszedłem dwa czy trzy razy nie mogąc dotrzeć do hrabiego; łatwy do zniechęcenia, jak zwykle, nie wróciłem więcej. Okaze się niebawem, iż byłem w błędzie.

Ach, czemuż nie dokończyłem wszystkiego co miałem do powiedzenia z pobytu u pani de Vercellis! Ale, mimo iż położenie moje zostało toż samo, nie wyszedłem z tego domu takim jakim weń wstąpiłem. Uniosłem z sobą niestarte wspomnienie zbrodni i nieznośny ciężar wyrzutów, które, po upływie czterdziestu lat, gniotą jeszcze me sumienie i których gorycz nietylko nie słabnie, ale zaostrza się w miarę jak zbliżam się ku starości. Któżby mnie mał, iż błąd dziecka może mieć tak okrutne następstwa? Te następstwa właśnie, więcej niż prawdopodobne, czynią me serce niepokieszonem. Może przyprawilem o zgon w hańbie i nędzy miłą, uczciwą, godną szacunku dziewczynę, z pewnością więcej wartą odemnie.

Rzadko bywa, aby zwinięcie domu nie pociągnęło za sobą jakiegoś nieporządku i aby nie zginęło przytem to lub owo. Tutaj domownicy byli tak uczciwi, oboje zaś Lorenzi tak czujni, iż nie brakło przy oddawaniu inwentarza. Jedyne pannie Pontal zginęła jakaś wstążka różowa ze srebrem, już znoszona. Wiele cenniejszych rzeczy było mi dostępnych; ta jedna wstążka skusiła mnie, ukradłem ją prosto, a że nie kryłem się wcale, wnet znaleziono ją u mnie. Żądano wytłumaczenia, skąd ją wzięłem. Mieszam się, belkocę, i wreszcie, czerwieniąc się, powiadam, że dała mi ją Maryjka. Maryjka była to młoda dziewczyna, którą pani de Vercellis przyjęła za kucharkę, kiedy, przestawszy wydawać przyjęcia, odprawiła kucharza, bardziej potrzebując dobrego rosółu, niż wykwintnych łakoci. Maryjka nietylko była ładna, ale miała tę świeżość cery spotykaną w górach, a zwłaszcza ten wyraz skromności i słodczy, który sprawiał, iż każdy kto ją ujrział musiał ją polubić; poza tem dziewczyna dobra, cnotliwa i nieskazitelnie wierna. Toteż, słowa moje wywołały zdziwienie. Zaufanie, jakie budziła powszechnie, osłabiało nieco wiarogodność moich twierdzeń; osądzono też, iż należy wprzód sprawdzić, kogo z dwojga trzeba będzie uważać za łotryka. Wezwano ją; zebranie było liczne, był i hrabia de la Roque. Zjawia się, pokazują jej wstążkę, oskarżam ją bez-

czelnie; stoi w osłupieniu, milczy, rzuca mi spojrzenie zdolne rozbroić djabła, moje nieludzkie serce zostaje nieczułem. Przeczy wreszcie stanowczo, choć bez uniesienia, przemawia do mnie, upomina abym wszedł sam w siebie, abym nie odzierał z czci niewinnej dziewczyny, która mi nie uczyniła nic złego. Ja, z piekielnym bezwstydem, powtarzam oskarżenie i utrzymuję do oczu, że dała mi wstążkę. Biedna dziewczyna rozplakała się i rzekła tylko te słowa: „Ach, Rousseau, myślałam, że masz lepszy charakter. Czynisz mi wielką krzywdę, ale nie chciałabym być na twojem miejscu“. Oto wszystko. Broniła się w dalszym ciągu z prostotą i stałością, ale nie pozwalając sobie na żadne wycieczki przeciwko mnie. To umiarkowanie, w zestawieniu z moim stanowczym tonem, zgubiło ją. Zdawało się trudnem do wiary przypuszczać z jednej strony bezczelność tak szatańską, z drugiej tak anielską słodycz. Sąd nie wypowiedział się jasno, ale raczej przechylał się na moją stronę. Zamęt, jaki panował w domu, nie pozwalał na zbytne zgłębianie sprawy; hrabia de la Roque uwolnił jedynie ze służby nas oboje i ograniczył się do powiedzenia, że sumienie tego który zawinił pomści krzywdę niewinnego. Przepowiednia jego nie była czczem słowem: dzień odtąd nie przeminął, aby się nie sprawdziła okrutnie.

Nie wiem, co się stało z ofiarą mego oszczerstwa; ale mało jest prawdopodobne, aby łatwo znalazła odpowiednie miejsce. Wyniosła ze sobą zarzut ciężko naruszający jej honor. Kradzież była drobnością; ale ostatecznie była to kradzież, co gorsza łączyła się ze zbalamuceniem młodego chłopca; do tego kłamstwo i upór: słowem, niewiele można się było spodziewać po istocie, w której jednoczy się tyle przywar. Dzięki mnie, znalazła się może w nędzy i opuszczeniu; może gorzej jeszcze. Kto wie, dokąd mogła ją zawieść, w jej wieku, gorycz pohańbionej niewinności? Jeśli nieznośną jest mi już zgryzota iż mogłem ją uczynić nieszczęśliwą, można osądzić czem jest dla mnie obawa, iż może uczyniłem ją gorszą odemnie!

To okrutne wspomnienie nawiedza mnie niekiedy i dręczy tak, iż, w bezsennych nocach, widzę tę biedną dziewczynę, zjawiającą

się, aby mi wyrzucać mą zbrodnię, jak gdybym ją popełnił wczoraj. Póki żyłem w spokoju, mniej mnie ono dręczyło; ale teraz, w odmętach burzliwego życia, odejmuje mi najśłodsza pociechę cierpiących przesładowanie, świadomość iż cierpią niewinnie. Powiedziałem, zdaje mi się, w którymś z pism, że wyrzut sumienia zasypia w pomyślnej doli, ale zaostrza się w przeciwnościach. Mimo to, nie mogłem się nigdy zdobyć na to, aby zrzucić z serca to wyznanie, wylewając je na łono przyjaciela. W najpoufniejszem zbliżeniu nigdy nie zwierzyłem się z tem nikomu, nawet pani de Warens. Umiałem zdobyć się jedynie na ogólnikowe zwierzenie, iż mam sobie do wyrzucenia czyn okrutny, ale nigdy nie powiedziałem, na czym on polega. Ten ciężar uciskał tedy, do dziś, me sumienie i mogę powiedzieć, iż potrzeba uwolnienia się od niego przyczyniła się w znacznej mierze do podjęcia tej spowiedzi.

W wyznaniu mem postąpiłem sobie otwarcie, bez ogródek; nikt chyba nie będzie uważał, iż starałem się tu złagodzić ohydę mej zbrodni. Ale nie dopełniłbym celu książki, gdybym nie przedstawił równocześnie mego wnętrza, i gdybym nie starał się usprawiedliwić o tyle, o ile tego wymaga prawda. Nigdy nie była dalej odemnie wszelka zła intencja niż w tym okrutnym momencie; dziwnem ale prawdziwem będzie, gdy powiem, iż, kiedym obwiniał tę niešťczęśliwą dziewczynę, nie co innego, lecz przychyłność moja dla niej stała się tego przyczyną. Ona plątała się właśnie w mych myślach: zaskoczony, oparłem swoje usprawiedliwienie o pierwszy przedmiot który się nasunął. Oskarżyłem ją, iż uczyniła to, co ja chciałem uczynić; powiedziałem iż dała mi wstążkę, ponieważ ja właśnie miałem zamiar jej ją ofiarować. Kiedy ujrzałem ją później pod ciężarem oskarżenia, serce darło mi się w strzępy, ale obecność tylu osób była silniejszą niż skrucha. Nie lękałem się kary, lękałem się jedynie wstydu: ale lękałem się go bardziej niż śmierci, więcej niż zbrodni, niż czegobądź w świecie. Byłbym chciał ukryć się, zapasać pod ziemię, niezwyćżony wstyd przeważył wszystko, wstyd jedynie dał mi siłę bezwstydu; im głębiej brnąłem w zbrodnię, tem

bardziej obawa przyznania się czyniła mnie nieustraszonym. Widziałem jedynie grozę, iż mogę być odkryty, ogłoszony publicznie, w żywe oczy, złodziejem, kłamcą, oszczercą. Zamęt, w jaki mnie to wprawiało, odejmował mi wszelkie inne uczucie. Gdyby mi zostawiono czas do opamiętania, byłbym niechybnie wszystko wyznał. Gdyby mnie pan de la Roque wziął na osobność, gdyby powiedział: Nie gub tej biednej dziewczyny; jeśliś winien, wyznaj mi; byłbym mu się bezzwłocznie rzucił do nóg, jestem pewny. Ale czyniono wszystko aby mnie onieśmielić, w chwili w której należało dodać mi odwagi. Trzeba również mieć na względzie i wiek: wszak ja wówczas ledwie wyszedłem z dzieciństwa, raczej tkwiłem w niem jeszcze. W młodym wieku, prawdziwa niegodziwość jest bardziej zbrodnicza niż w wieku dojrzałym; ale to co jest tylko słabością, stanowi o wiele mniejszą winę, a, w gruncie, błąd mój nie był niczem innym. Toteż, wspomnienie jego trapi mnie mniej dla samego złego, niż dla złego, którego może stało się powodem. Wspomnienie to oddało mi tę usługę, iż zabezpieczyło mnie na całe życie od wszelkiego uczynku trącającego występkiem, a to przez owo straszliwe wrażenie, jakie mi zostało po jednej jedynej zbrodni, którą kiedykolwiek popełniłem. Zdaje mi się, że mój wstręt do kłamstwa płynie w znacznej części z wyrzutu, iż mogłem się go dopuścić w tak nieczej postaci. Jeżeli to jest zbrodnia którą można odpokutować (a śmiem tak przypuszczać), to powinna mi być darowana za tyle nieszczęść przygniatających schyłek mego życia, za czterdzieści lat prawości i honoru w trudnych okolicznościach. Biedna Maryjka znalazła w świecie tylu mścicieli, iż, mimo ogromu mej winy, nie lękam się, abym ciężar tego błędu miał z sobą ponieść do grobu. Oto, co miałem do powiedzenia w tym przedmiocie. Niechaj mi będzie wolno nie wracać do niego więcej.
